Nr. 3. Lwów, dnia 1. Marca 1878. Rok I.

ŁOWIEC

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

PRZEDPŁATA
półroczna . złr. 2·50
roczna . . „ 5·—

Członkowie Towarzystwa odbierają bezpłatnie.

POTRZEBA RACYONALNEGO ŁOWIECTWA.

Olbrzymie lasy i bory zalegały niegdyś ziemie polskie — niezmierzone puszcze, a w nich niedostępne bagna, trzęsawiska i głuche ostępy były spokojnem schronieniem dzikiego zwierza, który też swobodnie się mnożył, i była go taka obfitość, że łowy na nie musiały się odbywać z tak ogromnym przyborem, o jakim dziś słabe jedynie możemy mieć wyobrażenie. Wielcy panowie chowali tłumy strzelców i dojeżdżaczy, kilka mil lasu obstawiano sieciami, wpuszczano w knieje kilkadziesiąt swór ogarów — hodowano tyleż smyczy chartów. Królowie i wielmoże państwa odprawiali wielkie łowy na żubry i łosie w różnych stronach kraju, — lub przebiegano niezmierne przestrzenie stepowe, szukając pastwy dla białozorów, sokołów, jastrzębi, krogulców, drzemlików, które z wielkim trudem układano do podobnych łowów.

Z postępem cywilizacyi zmieniła się postać rzeczy, olbrzymie drzewa nieprzejrzanych puszcz wycięto na maszty, klepki, pod koleje żelazne, na budowę gmachów, do licznych fabryk, wycięte lasy stały się urodzajną rolą, niedostępne bagna i trzęsawiska sianodajną łąką. W miejscowościach, w których niegdyś dzikie zwierzęta spokojne miały schronienie, rozsiadły się grody i włoście — a głuche puszcze leśne są obecnie roiskiem zabiegów i działań ludzkich. Toż i łowiectwo dawnych czasów stało się wspomnieniem i żyje zaledwo w tradycyi, którą literatura nasza, jako cenny zabytek przeszłości, z wielką starannością przechowuje.

Wszelako lasy dzisiejszej chwili dosyć są jeszcze rozległe — mają położenie równe lub wzgórzyste — szerzą się w nich bujną trawą zarosłe łąki — orzeźwione rzekami i strumykami — są przeto dogodne miejsca dla pobytu i mnożenia się zwierzyny — a łowy winne myśliwemu dostarczyć nie tylko przyjemności i rozrywki po trudach codziennej pracy, lecz również przysporzyć mu dochodu, który jedynie racyonalnem i umiejętnem łowiectwem osiągnąć może. Dotąd polowano tylko dla dogodzenia namiętności myśliwskiej, na każdem miejscu i o każdej porze — to też tępiono bezwzględnie szlachetną zwierzynę, a nawet zmniejszyła się znacznie drobniejsza, jak zające, kuropatwy i inne. Któż u nas myślał o rozmnożeniu i hodowaniu jej? Któż rozważał, iż łowiectwo jest umiejętnością, że naukę tę pielęgnować i krzewić należy. A jednak podaje ona środki różnorodne łowienia i zabijania zwierząt, a oraz hodowania i mnożenia ich i wskazuje realne korzyści, jakie z racyonalnego łowiectwa wynikają. Należy przeto dokładną mieć wiadomość o przyrodzie zwierząt łownych, o miejscu ich pobytu w różnych porach roku, o pokarmie, jakim się żywią, o ich przymiotach i skłonnościach przyrodzonych. Z zasobem takiej wiedzy możemy z pożytkiem hodować zwierzęta łowne tak na wolności jakoteż w zwierzyńcach, a w tym celu przedewszystkiem baczyć należy, by zwierzyna dostateczną do wyżywienia miała paszę, ochronioną była od napaści ludzi i zwierząt drapieżnych, wreszcie by stosunek płci był odpowiedni. Hodowaniu i mnożeniu zwierzyny różne nasuwają się trudności. Dawniej, gdy lasy były niezmierne, łatwo było utrzymać zwierzostan, wystarczały troskliwość i baczny dozór — dziś stan rzeczy się zmienił. Zmniejszyły się obszary lasów, a ludność się zwiększyła — na mniejszej przestrzeni leśnej szuka liczny inwentarz pożywienia. Przemysł i rękodzielnictwo poszukuje wielkiej massy materyału, ztąd dobry gospodarz starannie pielęgnuje las i chroni od wszystkiego, co mu szkodę wyrządza, a więc i zbytecznemu rozmnożeniu zwierzyny nie bardzo jest przychylny.— Nauka i wiedza wskaże mu przeto kierunek, w jakim w tym względzie bez uszczerbku własnych korzyści ma postępować, ona dostarczy mu przyjemności, jakiej dotąd przy nieuregulowanem łowiectwie nie miał i przyniesie dochody i pożytki, których bezmyślnoćć i ignorancya dać nie mogą. Jest rzeczą naturalną, że jedynie zwierzęta pożyteczne i szlachetne godne są uwagi i troskliwości w swym zawodzie wykształconego łowca, takiemi są: żubr, łoś, jeleń, sarna, dzik i zając, z ptactwa: głuszec, cietrzew, jarząbek i kuropatwa. O ile zaś owe zwierzęta chronić i hodować powinien, o tyle z całą usilnością tępić mu należy zwierzęta drapieżne — bez czego starania

jego nie mogą być pożądanym uwieńczone skutkiem, a temi są: niedźwiedź, wilk, ryś, borsuk, kuna, wydra, żbik, jastrząb (falco palumbarius), orzeł przedni (aquila fulva). Gdy więc umiejętnie i troskliwie łowiectwo prowadzić będziemy, zapełnią się wnet knieje nasze zwierzyną grubą, niwy i gaiki drobną, a myśliwy używać będzie prawdziwej przyjemności, będzie żywił w wnętrzu swojem szlachetne poczucie swej na nauce i głębszej myśli opartej przewagi nad naturą, a nadto odniesie materyalne korzyści, jako owoc swej pracy i starań.

Sprawy Towarzystwa Łowieckiego.

Do Towarzystwa łowieckiego przystąpili:

Hrabianka **Borkowska** Klementyna
Dzieduszycki Stanisław hr.
Gnoiński Alexander
Gnoiński Jan
Jasiński Marceli
Jaworski Gabryel
Jełowicki Julian
Koziebrodzki Szczęsny hr.
Larisch Karol
Mierzwiński Jan
Obertyński Emil
Obertyński Kazimierz
Rozwadowski Izydor
Tergonde Franciszek
Wiesiołowski Teofil
Wyrzyk Marjan.

PUSZCZA BIAŁOWIEŻSKA I ŻUBRY.

I. PUSZCZA BIAŁOWIEŻSKA.

„Litwa (mówi W. Pol) nie jest krajem lesistym, jak o niej mówią powszechnie, ale raczej jednostajnym lasem, miejscami wykorczonym tylko; bo orne i bezleśne obszary, lubo w pewnych okolicach znaczne, nikną w porównaniu olbrzymich lasów, które tam nazywają *puszczami*.“

Nużącą jest podróż przez takie puszcze, drogą bez końca, w prostej linii wyciętą, w głębokim piasku lub w miejscach bagnistych po wałkach czyli pomostach. Kto wszakże chce poznać urok dziewiczej natury, kto ducha do wyższego lotu, choćby go groza i trwoga przeniknąć miała, wznieść pragnie, -- niech się zagłębi w ponure ostępy owej puszczy — tam pozna cały majestat pierwotnej natury, — tam duma ludzkiej potęgi ugnie się kornie w obec zjawisk, jakie się oku jego przedstawią. Owionie go mrok tajemniczy — a gdy wicher wszystko do życia poruszy — usłyszy pieśń naprzemian dziką, jakoby wycie ludożerców puszcz amerykańskich, słodką i rzewną, jak nuta sercem rozbolałej dziewicy, gniewną lub groźną, jak przerażający odgłos gromu. A śród tego huku i szumu zlewa się wszystko po nad głową w jedną, straszną falę wzburzonego morza. — Gdy wrażenie tej grozy nie złamie ducha twego, i silny wolą i męstwem pomkniesz głębiej, ujrzysz przed sobą cały zamęt przedwiecznego lasu, wykroty, złomiska, pokłady mchu, wysoko sterczące korzenie powalonych sosen i jodeł, a śród nich gęsta i bujna roślinność sprawia wrażenie wężów wysuwających się z tego chaosu szkieletów drzewnych. Ogromną przestrzeń zajmują takie twierdze zbudowane ręką przyrody, niezbadane i nieprzystępne dla człowieka — a myśliwi nazywają je *gawrą niedźwiedzią* lub *matecznikiem*. Jakżeż przy dźwięku owego słowa: *matecznik* — nie przywołać do pamięci czytelnika owego wspaniałego obrazu, jakim wieszcz nasz ozdobił jedno z najcelniejszych dzieł swoich poetyckich; przytaczamy ów ustęp z wiarą, iż w tem miejscu jest niezbędnym, i że dając porywającą charakterystykę przedmiotu, o którym w słabych wyrazach mówimy, utkwi w duszy i pamięci czytelnika.

Puszcza litewska Adama Mickiewicza.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak, ledwie u brzegów nawidza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje,
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,
Dalej spotkać się z większem masz niebezpieczeństwem:
Dalej co krok czyhają niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą,
(Wielkie jest podobieństwo, że diabły tam siedzą).
Woda tych studni śklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa w koło tracą liść i korę:
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc, brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą w około wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.
Za temi jeziorkami już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,
Bo tam już wszystko mglistym nakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.

A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niej, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
W samym środku (jak słychać) mają swoje dwory
Dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszcz imperatory.
Około nich na drzewach gnieździ się Ryś bystry,
I żarłoczny Rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni, szlachetni wassale,
Mieszkają Dziki, Wilki i Łosie rogale;
Nad głowami Sokoły i Orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów dworscy zausznicy.
Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój smętarz, kędy bliscy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci:
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby strawy nieprzeżuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już posiwieje, Sokoł, gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
Idą na smętarz; nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
Stądto w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
Słychać, że tam w stolicy, między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami,
Jeszcze cywilizacyą ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
Jak ojce żyli w raju, tak żyją ich wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie
Nawet gdyby tam człowiek wpadł choćby niezbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze, co się w ogrojcu gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem człowiek nie zbłądzi do tego ostępu
Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.
Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają skowycząc z obłąkanym wzrokiem;
I długo potem ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nieznane tajniki,
W języku swoim strzelcy zowią: Mateczniki.

Nawiązujemy wątek przerwanego opisu puszczy. Grunt jej jest przeważnie piaszczysty, lecz pod płytką powierzchnią piasku wszędzie znaleść można wodę, w nizinach zaś, ku którym rzeki i strumienie wody swe toczą, rozlegają się bagna. Tu owe rzeki cieką tak wolnym prądem, iż zaledwo dostrzedz można, w jakim kierunku się sączą, a powierzchnia ich jest kawowo ruda, miejscami zupełnie czarna, woniejąca żywicą sosen, zabarwiona miriadami wymoczków mikroskopicznych. Często pochyłość gruntu jest tak małą, że wody się spierają, stają i tworzą jeziora, lub tak zwane *rojsty*. Są to bagna wieczną mgłą okryte, porosłe mchem i skrzypiem, gdzieniegdzie rośnie tam osoka, karłowata brzoza lub sosna. Myśliwy zapędziwszy się w takie *rojsty* bacznie z kępy na kępę przeskakiwać musi, bo gdyby je stopą pominął, pochłonęłaby go bezdenna przepaść trzęsawiska. Śród tych błot zasiądzie gdzieniegdzie gaik brzozowy, lub mała grupa osamotnionych sosen. — Wody zbierające się na twardym gruncie, tworzą *brody*, z dnem twardem, piaszczystem, niezarosłem, jak kryształ przejrzyste. Około takich brodów rozlegają się znaczne wyżyny lesiste zwane *ostępami*. Stanowią one dogodne knieje dla myśliwych. Tu też chętnie przebywa zwierz — cel ich wytężeń. Tu roślinność wybujała, drzewa niebotyczne a takiej objętości, iż je kilku chłopów ledwo rękami otoczyć zdołają. — Każda puszcza osobną nosi nazwę, np. stara, czarna, zawalna, sucha, zapadła, młoda, głucha, zielona itd., a w każdej równe znajdują się rojsty, ostępy, brody, sosny, brzozy, wrzosy i jałowce, te same mchy i paprocie, jagody, grzyby, odwieczne mrowiska, łomy i wykroty. Nad jeziorami sterczą masy kulistego granitu, którym wieki toczyły, zanim przybrał tę formę, a na nim porasta bujny mech. Głucha cisza otacza ów kryształ wody, ciszę tę przerwie chyba stado niepłoszonego ptactwa, wiodącego swobodnie rozgowór. Nad nim mgła się roztacza i znika wreszcie, kiedy jasne promienie słońca ją przenikną. Gdy zerwie się burza, a wicher szaleje, wówczas spokojne wody jeziora burzą się, czarne i spienione fale uderzają gwałtownie o brzegi, a granitowe bryły skacząc odmiennego szukają łożyska. Poza owemi jeziorami znowu rozściela się ponura puszcza, w której czasem uderzą oko jakieś mogiły dziwnego kształtu — są to nasypiska piaskowe, które wicher od wieków tu namiótł, a na wydmach owych roślinność życie swoje rozwija, aż ją nowy huragan wiatrów zmiecie i w inne miejsce jako zarodek nowego życia poniesie. — Do groźnych zjawisk owych puszcz należą również gory czyli pożary. Powstają one zwykle z nieostrożności lub pustoty — wichry wzdymają je i szerzą w dalekie obszary. Pożar taki jak gad pełza naprzód po ziemi niszcząc krzewy, wrzosy, mchy, trawy, następnie z sykiem jadowitej żmii wspina się do góry i rozlewa w jedną gorejącą falę. Z trzaskiem pryskają ogniste iskry, wiatr zozwścieklony rwie wszystko w około, z hukiem walą się zwęglone olbrzymy drzew, wre piekielne ognisko. Pożar taki trwa nieraz tygodnie i miesiące, zanim deszcze jesienne go przytłumią. Nie rychło po takiej pożodze odżywia się na nowo roślinność, a pogorzelisko przedstawia straszny widok zniszczenia. Innem również przerażającem zjawiskiem w puszczy są świecące próchna śród ciemnej nocy. Ileż to tam pokoleń drzew powalonych leży i próchnieje, a potarte migocą fosforycznem światłem. A świateł tych wiele, bo noc budzi drapieżnego zwierza, szukającego łupu — toż znane są myśliwym owe *nocne tropy*, które im ślad zwierzyny wskazują.

W takich to puszczach leśnych zamieszkał swobodnie świat zwierzęcy. Ogromne obszary, spokój, bujna pasza, pozwoliły mu się rozrodzić tu w wielkiej mnogości. O zwierzętach owych, a szczególnie o królu puszczy, żubrze, mówić będziemy w drugiej części tej rozprawy. Obecnie nadmienić należy, iż w dawnych czasach rozlegało się w ziemi naszej wiele takich puszcz na ogromnych obszarach — przechowywały one wielką ilość różnorodnej zwierzyny. Nie dziw więc, ze przy rycerskiem

usposobieniu i ustroju uprzywilejowanej warstwy narodu polskiego, łowiectwo było ulubionem jej zajęciem, polem popisu dla wytrwałości i odwagi — prawdziwie rycerskiem igrzyskiem, którego urok przelewał się w lud, z zapałem biorący podrzędny udział w zapasach łowieckich. — Znane są puszcze: Niepołomicka w Krakowskiem, Zielona w Ostrołęckiem, Białowieżska w Grodzieńskiem, Kampinoska i Łomżyńska na Mazowszu, Kozienicka w Sandomirskiem — ze swych olbrzymich obszarów — mniejsze zaś, jak: Brańszczykowska i Zegrzyńska na Mazowszu, Radziwiłłowska pod Białą Radziwiłłowską na Podlasiu — w naszych już prawie oczach zniknęły pod ciosami toporów.

Przechodzimy do opisu jednej z tych puszcz: Białowieżskiej, pozostałej jakoby na świadectwo dawnej pod tym względem świetności. Rozlega się ona w gubernii grodzieńskiej, między Grodnem, Prużaną, Brześciem i Bielskiem i zajmuje przestrzeń 22 mil kwadratowych, w długości 7 mil, szerokości zaś 6. Od lasów sąsiednich dzielą ją łany orne i łąki jakoteż rzeka Narew. W głębi jej leży kilka folwarków i wsi. W samym środku, na wyżynie, legła wieś zwana Białowieżą, a od owego wzgórza pochyla się grunt lekko i z tej pochyłości spływają liczne strumienie i rzeki, jak: Biała, Lsna, Perewołoka, Narew, Narewka, Woźna, Krynica, Latownica i toczą swe wody ku Bugowi i Wiśle. — Miejscowości wynioślejsze mają grunt piaszczysty, niziny zaś podmokłe, — czarnoziem. — Cała puszcza podzieloną jest na 12 straży, a każda z nich ma osobnych strażników, strażnik zaś kilku leśników, którzy dozorują oddane im ostępy i uroczyska, pilnują bezpieczeństwa żubrów, tępią drapieżne zwierzęta, wiodą myśliwych na stanowiska. Czynność ta przechodzi pokoleniami z dziada na syna i wnuka, ztąd owa łatwość, z jaką na kilkomilowej przestrzeni swobodnie się oryentują. Straże noszą nazwy: 1. Augustowska, 2. Narewska, 3. Browska, 4. Hajnowska, 5. Leśnianka, 6. Starzyńska, 7. Stołpowiska, 8. Krukowska, 9. Okolnicka, 10. Swietliczańska, 11. Pobielska, 12. Dziadowlańska — W straży Browskiej znajduje się uroczysko zwane Starą-Białowieżą, a w pobliżu wzgórek Zamczysko, noszące swe miano na podstawie podania ludowego od zamku królewskiego, który tu niegdyś stał, lub (według Brinckena) od domu myśliwskiego królów polskich z *białemi wieżami*, zkąd też poszła nazwa puszczy. Jarocki zaś twierdzi, iż uroczysko to sięga pochodzeniem swojem czasów pogańskich, przy rozkopaniu bowiem owego wzgórza znaleziono w niem kości ludzkie i łzawnice, co świadczy, iż było to cmentarzysko odległych wieków. Archeologowie wszakże zbijają owe twierdzenie Jarockiego. W samym środku puszczy, na wyniosłości rozlega się u brzegów Narewki wieś zwana Nową-Białowieżą. Tu kazał król polski, August III. zbudować pałacyk myśliwski, a Stanisław August dodał dwie oficyny. W środku wsi, u samego wybrzeża Narewki wznosi się obelisk, a na nim napis: „Dnia 28 septembra 1752 najjaśniejsze państwo: August III., król polski, elektor saski z królową jejmością i królewiczami ichmość Ksawerym i Karolem, tu mieli polowanie żubrów i zabili 42 żubrów, to jest: 11 wielkich, z których najważniejszy ważył 14 cetnarów i 50 funtów, 7 mniejszych; 18 zubrzyc; 6 młodych; 13 łosiów, to jest: 6 starych, najważniejszy ważył 9 centnarów i 75 funtów, 5 samic, 2 młodych; 2 saren; summa 57 sztuk. Następnie wymienieni są dygnitarze koronni i litewscy, biorący udział w łowach: Branicki, hetman w. k.; hr. de Brühl, pierwszy minister J. K. M.; Wielopolski, Cześnik kor.; hr. de Brühl, Koniuszy J. K. M.; Marszałek de Birberstein, Jenerał poczty kor.; de Schoenberg. Marszałek nadworny; PP. Poniatowski, Wilczewski, Węgierski, Starzewski Pułkownicy i Sapieha Oberster Lieutenant. — Dalej idą nazwiska łowczych, podłowczych, nadleśnych i leśniczych. Toż samo wyrażone jest na drugiej stronie obeliska w języku niemieckim. — Prócz Białowieży znajdują się w puszczy wsie: Mielnisko, Niemierza, Tuszelma, Masiewo z kolonią szwabską Szoły, Narewka, Skopowo, Biernacki most, Lipiny, Orzeszkowo, Hurynów grad, Babia góra, Teremiski, Pogorzelce. Mieszkańcy dwóch ostatnich wsi zowią się *budnikami*, po większej części Mazury, zajmujący się wyrabianiem potażu. W innych wsiach mieszkają Litwini i Rusini, a ubiór ich składa się z czarnej siermięgi i łapciów czyli chodaków z lipowej kory. Wsie skarbowe: Kiwoczyn, Kamienniki, Rożkówka, Ćwirki i Panasinki osadzone są podwładnymi zarządu leśnego, zwanymi *osocznikami*, którzy koszą siano dla żubrów i składają je w stogi, naprawiają drogi, w czasie polowania stanowią obławę, w lecie zaś odbywają warty, strzegąc szczególnie, by w puszczy nie rozkładano ognisk, z których groźny pożar mógłby się wszcząć. Strzelcy noszą porządniejsze ubranie złożone z butów, wołoszynki z szarego sukna z kołnierzem i wyłogami zielonymi. — Mieszkańcy puszczy mało zajmują się rolnictwem, głównie zaś chowem bydła i pszczół. — Wspomnieliśmy już, iż strażnicy mają sobie pod dozór oddane uroczyska i ostępy. Szczupłe ramy tej rozprawki nie pozwalają nam wymienić nazw wszystkich. Najciekawszym niezawodnie jest ostęp zwany Nieznanów w straży Hajnowskiej. Już sama nazwa charakteryzuje go dostatecznie. Od wieków ludzka stopa nie ma tu swobodnego przystępu i nie dał się tu słyszeć odgłos toporu. Olbrzymie pokłady powalonych drzew tworzą niedostępną twierdzę, której głębi nawet bystre oko przeniknąć nie zdoła. Śród tego chaosu wije się bujna roślinność. Tak więc ostęp ten tworzy jedną, dziwnej postaci massę, której właściwość dotąd bliżej nie jest zbadaną. Tem większe robi on wrażenie, że otacza go bór sosnowy, w którym żaden liść nie tamuje jego przejrzystości. — Wegetacya w puszczy jest w ogóle nader bujną. Z drzew rośnie tu cis, świerk, sosna (modrzewia i jodły wcale nie ma) dąb, grab, brzoza, lipa, olsza czarna i biała, topola czarna i biała, osina, dzikie jabłonie i grusze, czeremcha. Z krzewów leszczyna, wierzby, iwy, suchodrzewy, sakłak, ligustr, berberes, kalina, trzemielina, bez, jałowiec i inne. Cis nader jest rzadki, używany bowiem jako lek na wściekliznę, wycięty został. Sosna najpospolitsza. — Nie podobna nam dać obrazu całej roślinności puszczy — przedmiot to dla obszernej naukowej pracy, której dotąd ledwo słabe zarysy posiadamy. — Pierwszą wzmiankę w historyi o puszczy Białowieżskiej mamy z czasów Władysława Jagiełły, który tu często na żubry polował, nie tylko dla nasycenia namiętności łowieckiej, ale nawet dla korzyści. Jakoż polował on tu w r. 1409 przez 8 dni wraz z Witołdem w celu zaopatrzenia się w mięso dla wojska przed wyprawą przeciw Krzyżakom. Ogromne zapasy mięsa rożnorodnej zwierzyny nasolonego w beczkach spławiono przez Narew i Wisłę do Płocka. — W r. 1426, w czasie morowej zarazy, schronili się tu Jagiełło i Witołd. Polowali tu też obaj Zygmunci i Stefan Batory, od którego w straży Hajnowskiej nazwaną została Batorowa góra. Do roku 1795 należała puszcza Białowieżska do dóbr stołowych królewskich, a czwarta jej część tylko była własnością Tyszkiewiczów. Uregulowaną ona była już za Zygmunta Augusta. Podskarbiowie mieli nad nią nadzór, a Łowczowie zarząd. Była tu zawsze liczna psiarnia i arsenał myśliwski, zabrany w r. 1812 przez generała Latour-Maubourg. Za panowania Stanisława Augusta zajął się podskarbi litewski Ant. Tyzenhauz nader gorliwie uporządkowaniem puszczy w celu oszczędzenia żubrów i podniesienia dochodów z lasu. — Obecnie Władze troskliwie czuwają nad Białowieżską puszczą — to też nie zmniejsza się wcale ilość zwierzyny, a

mianowicie żubrów, do których opisu obszerniejszego w części drugiej tej rozprawki przystąpić zamierzamy. *J. Ł.*

Wyciąg z wykładu M. Wagnera:

O strzelbie iglicowej systemu Teschnera

przełożył z niem. Teofil Żurowski.

Żyjąc w czasach, w których wydoskonalenie broni palnej olbrzymie robi postępy, pytamy się, czy jesteśmy na szczycie doskonałości? czy jest dalszy postęp prawdopodobnym? — Co do broni ręcznej a mianowicie co do donośności strzału, wątpię aby się ulepszyć dało, gdyż dalszy strzał możnaby tylko osiągnąć przez powiększenie naboju prochu, co jest ze względu, że broń ręczna musi być lekką, niemożliwem. — Mamy obecnie tyle systemów broni, że często się zdarza, iż dostajemy broń do rąk, której sposobu użycia nie znamy. Strzelba, która przy trwałej konstrukcyi, pojedyńczym mechanizmie, strzela ostro i dobrze, zasługuje na pierwszeństwo, a kto zna i sam używa broni systemu Teschner et Comp. (obecnie W. Collath) w Frankfurcie nad Odrą, chętnie przyzna, że tej broni przed inną pierwszeństwo się należy. Znałem myśliwych, którzy broń systemu Lefaucheux uważali jako doskonałość, — obecnie wisi Lefaucheux'wka na ścianie, a oni stali się zwolennikami systemu Teschnera. Będę się starał opisać w krótkości ten system.

Zamek strzelby znajduje się wewnątrz łoża i jest trzema przytwierdzony śrubami łatwy do wyjęcia i rozebrania. Na wierzchu kolby umieszczony jost *szperer*, którym się zabezpiecza strzelbę od dowolnego wypalenia.

Do nabijania otwiera się strzelbę korbą, jak inne odtylcowe, ćwierć obrotem w lewo. Zapalenie prochu następuje przez uderzenie igły w nabój, u dna naboju umieszczony jest sztyft, który znajduje się wewnątrz naboju, a którego główka, jakkolwiek widzialna, z tylnej ściany naboju nie wystaje. Przy strzelaniu uderza igła w sztyft, ten przeszywa massę palną i zapala ją wraz z prochem od przodu naboju.

Korzyści systemu Teschnerowskiego są następujące:

1. Na pierwszy rzut oka uderzająca pojedyńczość konstrukcyi.
2. Szybkie nabijanie; — w trzech ujęciach jest strzelba nabita: 1. otworzenie strzelby, 2. włożenie naboju, 3. zamknięcie strzelby — i broń do strzału gotowa, gdyż w chwili, gdy się strzelbę otwiera, naciągają się równocześnie sprężyny.
3. Zamki mają sprężyny uderzające, które są od spiralnych pewniejsze, gdyż pchnięcie sprężyny uderzającej jest nie tylko silniejsze ale i szybsze. Sprężyny spiralne prędzej się zużywają i dla tego iglicówki takie często zawodzą, gdyż sprężyna spiralna staje się za słabą, aby igłę z odpowiednią siłą w *Zündspiegel* pchnąć mogła.
4. Wyciągacz nabojów jest pojedyńczy, mocny a przytem wyborny, otworzywszy strzelbę, wysuwają się naboje o tyle, że je wygodnie bez wszelkiego przyboru wyjąć można.

Któż nie doznał przykrości z powodu pozostania naboju Lefaucheux w gnieździe nabojowem — przy czem przyrządy odpowiednie nie wystarczają — drapie się lufa, i jak poród nieprawidłowy obcęgami, tak nabój kawałkami wyciągać trzeba.

5. Pojedyńczym przyrządem można strzelbę zamknąć i równie szybko otworzyć, tak, iż jest niemożebnem, ażeby strzelba mimo woli strzelca wypaliła.
6. Za pomocą swej konstrukcyi zamyka się strzelba szczelnie, gaz nie wchodzi w zamki, które zostają czyste i z łatwością mogą być wyjęte.
7. Skutek strzału jest z każdego względu doskonały — czego doświadczałem nieraz na polowaniach w polu, gdyż robiłem strzały tak dalekie, jakie z innej broni są niemożebne.

Naboje można robić w domu, wystrzelone stają się przez naklejenie kabzli papierowej i takiejże rurki zdatne do powtórnego użycia, na proch przychodzi *treibspiegel* lub kółko filcowe, następnie śrót, na wierzch kółko cienkie z papierowej massy — wystający papier zawija się i nakleja gumą.

Jest rzeczą doświadczoną i niewątpliwą, że strzał śrótowy z rurki papierowej jest lepszy i ostrzejszy, jak z rurki tekturowej. — Nabój może być według potrzeby dłuższy lub krótszy, gdyż strzelba nie ma gniazda nabojowego, ograniczającego jego długość.

Rurka papierowa naboju spalona wylatuje wraz z strzałem. — Broń iglicowa systemu Teschnera rozpowszechnia się jak świadczą zagraniczne zamówienia. coraz więcej. — Na czele fabryki stoi dawniejszy wspólnik, a teraz właściciel fabryki W. Collath, który jest zamiłowanym myśliwym i doskonałym strzelcem — doświadczenia myśliwego zużytkowuje do wydoskonalenia swej broni — rzetelność fabryki zasługuje na pochwałę.— Ceny broni: zwykła strzelba od 50 talarów stosownie do wykonania — ciągniona 65 tal. — Rurek metalowych z metalowym brzegiem 1000 — 26 marek — do sztućców 1000 — 36 marek.

TYDZIEŃ POLESKI

przez

A. BARTHELSA.

X.

Budzę się, bo myśliwy choć jak się utrudzi,
Jakimś dziwnym instynktem w porę się obudzi,
Zdaje się, że mu jakieś licho, czy też zmora
Szepnie nagle do ucha — wstawaj, bo już pora. —
Spojrzę z budy po Niebie, aż nad wschodem pręga
Światlejsza się odbija, jakby jasna wstęga,
Co się zdaje nad lasem powoli rozdawać...
Do zegarka... po drugiej... Panowie czas wstawać!
Zawrzała ruchem buda, jeden skoczył raźnie,
I gotów; drugi plecie coś tam niewyraźnie
Ślepie swe przecierając, trzeciemu powiesie
Ani w myśli wstawanie — At, spać jeszcze chce się,
I wyciągnąwszy nogi cybate, jak długi,
Wyraźnie ma ochotę chrapnąć na bok drugi.
Ale służba nie drużba -— posyłam dwóch zuchów,
Żeby ciągnąc za nogi, zbudzili leniuchów —
Jakoż przecie powstają — nie bardzo ochoczo,
Jeszcze pod nosem mruczą, jeszcze coś bełkoczą,
Przeciągają ziewając członki jak dąb zdrowe,
Wzięli strzelby i torby — i wszystko gotowe —
Teraz słuchać komendy! pan Piotr z panem Janem,
Wasan z panem Ignacym, a ja znów z Acanem
Pawełeczku mój drogi pójdziemy pod rzeczkę,
Na stare moje nogi bliżej to troszeczkę.
A teraz wszyscy w drogę — Marsz! i w imię Boże
Niechaj każdy pokaże, co umie i może. —

XI.

Idziemy raźnym krokiem z Pawłem naprzód, drogą,
Potem ścieżką, bo do brodu — a z brodu na prawo
Po nad rzeczułką na bór, ledwie zdążyć mogę,
Tak Pawełek cybaty nogi zwija żwawo,
Ale młodość nie starość, a starość nie radość,
Nigdy chęciom człowieka nie uczyni zadość,
Człowiek by i tańcował i kochał — mój Boże!
Kiedy siły nie służą i nic już nie może!
Tu Paweł zwalnia kroku, potem staje, z cicha
Szepcąc: Ot na tej górze, zda się, pod tą choją,
Drugi troszeczkę dalej, a trzeci, do licha,
Bodaj czy nie w brzeźniaku, — tego już na moją
Sam sobie biorę dolę, bo gęsto szkaradnie,
A Wasan z tymi dwoma rozpraw się dokładnie.
Tylko radzę się składać i gęstwiną sadzić,
Bo w wielu miejscach *hało**) i można się zdradzić.
— I poszedł w swoją stronę, — ja cichaczem dalej
Słucham,... nic, znów podchodzę, zdaje się *telęka*,**)
Jeszcze podchodzę, słucham, dalibóg że wali!
Serce w człeku zabiło, odetchnąć się lęka,
Tylko wziął fuzyę do rąk, odwiódł, czy pistony
Na miejscu, każdy siedzi świeżo nałożony...
Więc dalej w imię Boże, a głuszec gra panie
Pieśń po pieśni, jak pacierz, aż lubo Mospanie.
Te-te-te-te,... trzy kroki, bo z daleka można
Jeszcze sobie pozwolić. — i jeszcze trzy skoki,
Jeszcze trzy, i trzy jeszcze w pieśni, -- bo ostrożna
Sztuka, po każdej pieśni w wszystkie patrzy boki,
I słucha, — potem po dwa, żeby zawsze panie
Jak staniesz, słychać było jeszcze czyhitanie,
Bo to grunt całej rzeczy — gra tęgo, ja skaczę,
A słychać coraz lepiej, głuszec gracz nie lada, —
Tchu mi już w piersiach braknie i serce kołacze,
A choć chłodno, kroplami pot z pod czapki spada —
Już gdzieś tu niedaleko, ze dwadzieścia pieśni,
A co go tam przywita, ani mu się nie śni.
Ale tu nie dość skakać, wypatrzeć to sztuka
Po ciemku od tej strony kryjąc się drzewami, —
W tem to i trudność cała i cała nauka,
Co nas robi dobrymi na głuszce strzelcami,
Żeby podskoczyć w porę i cicho podskoczyć,
Żeby w stronę najsłabszą umiejętnie natrzeć,
Niekiedy dla pewności nawet nieco zboczyć,
I jak tam głuszec siedzi, ostrożnie podpatrzyć.
Tu nie dość umieć skakać, bo do takiej sprawy
Trzeba oka, krwi zimnej i szalonej wprawy. —
Skaczę z piętnaście pieśni, zdaje się, być musi
Na jednej z tych trzech sosen, ztamtąd pieśń wychodzi,
Czekam dwie pieśni stojąc, choć licho mnie kusi
Podskoczyć jeszcze bliżej, może nie zaszkodzi, —
Ale jeśli zaszkodzi? Ślepię, co ócz stanie,
Zdaje się — tamta gałąź rusza się coś panie, —
Ostrożnie pieśń po pieśni, robię cztery skoki —
Patrzę... jest — tam na *sęku*,***) a sęk dość wysoki —
Tylko czysty zupełnie. — Stoję — gra na zabój!
Chwałaż Bogu nie będzie stracony mój nabój!

*) *Hało*, rzadko, niezarosło.

**) Pieśń głuszca dzieli się na *telękanie*, które jest tylko wstępem, potem *kłapnięcie*, a nareszcie *czyhitanie*, w czasie którego głuszec już nic nie słyszy.

***) Sęk, po chłopsku — suk — gałąź.

Jednakże jeszcze ciemno, — cierpliwość nie wadzi,
I przyjemnie popatrzeć, jak to on się sadzi,
Jak rozpuściwszy ogon, wyciągnąwszy szyję,
Eleganta udaje... Śmieszne te bestyje!
Lecz kiedy ja tak stoję, — słyszę, choć z daleka,
Gra drugi, — myślę sobie, niech gra, nie doczeka
Wykpić się, tylko trzeba strzelać do pierwszego
Rozważnie, i akurat w samą pieśń tamtego.
Składam się — jeszcze ciemno, nic nie widać celu,
Choć jego widzę dobrze wśród gałęzi wielu,
Gra — chodzi — wypatruje — wykręca się w koło,
Podziubie — nos poostrzy -- i znów rznie wesoło.
W tem — jak na moje szczęście, zwraca się, jak trzeba,
I cały bok wystawia na szare tło nieba.
Boże mój! — jak nie utnę! — tylko łup, łup, z sęku
Bach o ziemię, jak kamień — i już w moim ręku;
A ja cały na niego, żeby mi czasami
Nie spłoszył i tamtego łopocząc skrzydłami.
Mam go -— porządna sztuka, pióra jak z atłasu,
Ciężki!... jak taki drugi, nie wyniosę z lasu —
Ale nie ma co czekać!... Tamten gra? — Nie! milczy;
Musiał coś jednak zwąchać — zmysł bo u nich wilczy!
Zaczekajmy! — No czekam... *telękać* zaczyna,
Przynajmniej nie poleciał, — i to już nowina...
Coraz częściej *telęka*, zobaczym, co powie...
W tem słyszę: te-te-te-te... daj ci Boże zdrowie!
Zaczął grać, ja swojego na plecy, i dalej
Skakać, po pieśni jego, a on wali, wali,
Co pieśń to jeszcze lepiej, co skok — coraz bliżej,—
W tem cyt! — uciął jak nożem i — kłaniam najniżej.
Co to jest? — łatwa sprawa, strzał słychać daleki!
Paweł urznął do głuszca nieopodal rzeki!
Znowu więc czekać trzeba, a tu mnie do licha,
Jedna gałąź w nos kole, dwie z tyłu popycha,
A z dziesięć pod nogami, i to suche jeszcze,
Niechaj która się złamie, lub tylko zatrzeszczy —
Tyle go będę widział... Stoję, jak baranek,
Stać będę, jeśli każesz, caluteńki ranek,
Tylko zagraj na końcu, głuszcu mój kochany,
A on panie tak milczy, jak słomą wypchany
Stoję tak dobry kwadrans, nogi drżą podemną,
Sam już nie wiem, czy żyję, co się dzieje ze mną,
Serce Mospanie w piersiach bije, gdyby młotem,
I jak mysz cały panie oblewam się potem.
Stoję... głuche milczenie... ledwie przerwie czasem
Ćwirknięcie lub *chrap* słonki ciągnącej nad lasem.
Aż tu na biedę moją: *ok*, *ok*, *ok*, *) głuszyce
Mizdrzyć się zaczynają — płoche zalotnice —
Widać prawdę rządzącą nawet te zarośle,
Że gdzie diabeł nie zładzi — tam samicę pośle.
Nic nie będzie wyraźnie!... W tem łup, łup, głuszysko
Zrywa się, i nad głową moją, ot tak nisko,
Jak kijem dostać, leci... ja bac, bac, dwa razy!
Padł z dymem, jak onucza! **) Boże mój, wyrazy
Wszystkie ludzkie na świecie, poezya, to mało!
Muzyka nie wyrazi — co się ze mną działo,
Kiedym ja tego głuszca, co tam grał na sęku,
Widział tu, u nóg moich, i trzymał już w ręku!

*) Wabienie się głuszycy — po którem głuszce zlatują na ziemię.

**) Onucza, płótno do owinięcia pod łapcie nóg. *Padł jak onucza* wyrażenie myśliwskie.

Dwa głuszce! — warto prochu trzy naboje spalić,
Bo jest do czego strzelać i z czem się pochwalić
Aleź jest co i dźwigać kawałek nie mały:
Jedno z drugiem na plecach przynajmniej pud cały.
Roskosz, roskosz nadziemska! oh, i na tem basta,
Zdaje się, że mi skrzydeł para z plec wyrasta,
Tak do ogniska spieszę... hop! hop! na sąsiada
Wołam, hop! hop! wracając Paweł odpowiada.
—Masz głuszca?—Mam jednego, a ty?—Dwa Mosanie!
Dalipan, to zbawienie, a nie polowanie,
I prawdę powiedziawszy, ja myślę, że święci
Muszą być choć tam w niebie, myśliwi zawzięci.
Ruszajmy do kurenia — idziem — już dzień biały,
Słońce jeszcze nie weszło, lecz w ruchu las cały,
Ptastwo na gwałt świegocze, a na samym przedzie,
Drozd pomiędzy wszystkimi najgłośniej rej wiedzie,
Gwizdże jak opętany skacząc z drzew na drzewa
I pewnie przekonany, że prześlicznie spiewa.
Tymczasem słońce wschodzi, i gdy z jednej cienie
Z drugiej strony już światła leją się strumienie,
A słońce tem piękniejsze, że w złota powodzi,
Z ciemnej pręgi tych lasów litewskich wychodzi,
Tak, że człek mimowolnie wyszepcze modlitwę
Do Boga za te lasy i tę naszą Litwę,
Oddałby, co najdroższe, Bogu na ofiarę,
A zwłaszcza kiedy niesie, jak ja, głuszców parę!...
W tem zapiszczał jarząbek. — A gdyby zawabić!
Mówi Paweł.. — Dawaj go... tylko fuzyę nabić
Cieńszym śrótem potrzeba... — Siadamy na kłodzie
W gęstym leszczyny krzaku, i po starej modzie
Nuż go drażnić wabikiem,... blisko odpowiada —
Na piechotę się ku nam, jak widać, podkrada —
Patrzym nisko po ziemi, słychać tylko panie,
Od czasu tak do czasu urwane purchanie
Prrrr... i usiadł we wrzosie... czupurne to licho
Biegnie po kłodach prędko... my siedzimy cicho...
Aż oto znów podleciał... i usiadł przed nami...
Paweł stuk! zatrzepotał tylko skrzydełkami,
Przebiegł jeszcze kawałek pod leszczyny krzaczek,
Strzepnął się, i bez ducha został nieboraczek.
Do torby kawalera... i z czterma sztukami
Dążymy do kurenia chwalić się strzałami.

XII.

Aż już siedzą pod brzeziną
Wszyscy przy ognisku,
Jeden z kiepską bardzo miną,
A trzech po myśliwsku,
To jest: gwarno i wesoło
Okopcono, brudno,
A o czem tam radzi koło
I zrozumieć trudno.
Wiele głuszców? — Trzy mosanie
Ignacego, Jana,
I mój miłościwy panie...
A gdzież jest Acana?
Pytam Piotra milczącego,
Został widzę w lesie!
— At! do diabła idź starego
Co Wacanu chce się,
Wyprawili gdzieś na błota,
Gdzie wiuny i raki,
I każą, jeśli ochota
Skakać przez mech taki.
Skoczyłem pieśni ze dwieście,
Jak pies się skąpałem,
Głuszec porwał się nareszcie,
A w lot spudłowałem.
Ot i wszystko... za nic w świecie
Nie pójdę już z wami,
Bo wy tylko mnie umiecie
Zbywać konceptami...
— Wstydź się, wstydź się, Pietrze drogi.
Tak o nas źle sądzić,
Człowiek nieznający drogi,
Musi czasem zbłądzić.
A tyś pierwszy raz tu z nami
Nie znasz miejscowości,
A i przyznaj, że czasami
Brak ci cierpliwości.
Ja znam mech ten doskonale,
Są miejsca i grząskie,
Lecz są także niezłe wcale,
Gdzie zarośla wąskie,
Gdybyś skakał wciąż krzakami,
A nie hałem błotem,
I nie zmokłbyś tak z uszami
I nie łajał potem.
Ot tak bracie... dziś dla zgody
Ja cię zaprowadzę
W miejsce, gdzie już nie ma wody,
I głuszca zasadzę
Wprost dla ciebie, — jutro z rana
Weźmiesz go jak swego,
A tymczasem do Acana!
I dosyć już tego...
Wypił Piotr jeszcze markotny
Kubek cnej staruszki,
I otarłszy łeb wilgotny...
— At w popiele gruszki!...
A ja na to: Nie w popiele,
Lecz w twojej kieszeni,
Już ja, kiedy co wydzielę,
Diabeł nie odmieni,
Jutro wytniesz głuszca raźnie
Ja ci to powiadam,
A wiesz, że mówię wyraźnie,
Choć nie wiele gadam...
Teraz cicho — a na zgodę
Pocałuj mnie w czoło,
Wylej z mokrych butów wodę
I zanuć wesoło..
Piotr poczciwy widząc jasno,
Że się darmo zgniewał,
— Et! niech was pioruny trzasną!
Zaklął... i zaspiewał:
„*Któż zrówna na świecie
Myśliwskiej swobodzie*“...
A my w całym też komplecie
Rzniem po starej modzie
Chórem panie urządzonym,
Po polsku prawdziwie,
To jest wszyscy unisonem,
A każdy fałszywie...

Aż tu jawi się na stole,
A raczej na wrzosie,
Uczta, co aż w oczy kole, —
Pięć słonek w bigosie.
A dla uniknienia sprzeczek,
(Bo sześć przecie osób)
Dodany nasz jarząbeczek —
Inaczej nie sposób.
Mianowany gospodynią,
Jaś to nam skuchmarzył,
Jeszcze misę na słoninie
Smarszczów nam nasmarzył.
Poszła więc na te nowiny
Straszna mastykacya,
I przynajmniej dwie godziny
Potem — konwersacya
W pytaniach i odpowiedziach
O życiu ochoczem,
O głuszcach i o niedźwiedziach
I Bóg wie nie o czem.
Potem taki i owaki,
Położył się w cieniu,
A ja sobie, choć zuch taki
Chrapnąłem w kureniu.
(D c. n.)

OSTATNIE POLSKIE ŁOWY

przez

LEOPOLDA Hr. STARZEŃSKIEGO.

Hej! dalej w bory! Nemroda dzieci!
Już czas do pracy! Rzucajcie łoże!
Różana zorza od wschodu świeci
A szron się rozległ w koło — jak morze. —
Wietrzyk już przedarł nocnej mgły szaty —
W jej srebrnych ramach, jak gdyby w dymie
Tam widne lasy w zwierza bogate —
To bór jodłowy na wzgórzu drzemie.
Spieszmy je zbudzić pieśnią ogarów,
Najmilszą uchu strzelca muzyką,
I zawitajmy pośród tych jarów
Z naszą drużyną krwi chciwą, dziką.

Patrz! jak wspaniały orszak się rozwija —
Że aż myśliwska raduje się dusza —
Widzisz jak rumak tam rumaka mija,
To polska dziatwa tak na łowy rusza. —
Bo my nie strzelcy, jakich dziś tak wiele,
Co to z niemiecka a z czeska potrosze,
Co to strzelają skowronki, chruściele,
Albo w zwierzyńcach bażancie kokosze;
Ni tacy, co to polują dla tonu,
I z krzesła zwierza strzelają z za krzaka,
Lub z psiarnią karłów przybyłych z Albionu
Gonią na polach nędznego szaraka.
O! nie! innego nam potrzeba zwierza!
My dziś ostatnia drużyna dobrana
Ostatnia — jakby z ostępów Nieświeża,
Z Radziwiłłowskiej szkoły — lub Rejtana.
Poznasz — to orszak w łowach wyćwiczony,
Pod każdym rumak się miota i pryska,
W ręce każdego sztuciec doświadczony,
Z boku kordelas wyostrzony błyska.
Naszych praojców — łowców zgasłe cienie
Z obłoków na nas dziś patrzą — szczęśliwi,
Że w ślad ich kroczy młode pokolenie,
I szepczą z dumą: To polscy myśliwi!

Młodzieży miejska! wątła, zniewieściała,
Ciebie dym cygar kasynowych kryje —
O żal mi ciebie, żeś nie doświadczała,
Jak serce strzelca pośród borów bije. —
Porzućcie szachy, karty i bilary
Młodzieńcy! z starców bladością na twarzy —
A tam poznacie nowe życia czary,
O których knieja duszy łowca gwarzy, —
Poznacie, że tu milej śród pogoni
Matować dzika, niżli w szachach króla,
I że daleko milej uchu dzwoni
Kula z ołowiu, niż bilaru kula, —
Że pierś swobodniej oddycha śród jarów,
Niż śród najlepszej gry karcianej weny, —
Że milsza piosnka dobranych ogarów,
Niż Orfeusza i Schoene — Heleny.

Dalej w pochód! Patrz! — na prawo
Jakiż zapust to prześliczny!
Tu się możem okryć sławą,
To myśliwski grunt klasyczny.
Tą ścieżeczką pomkniem skrycie...
Lecz... cóż tak parskają konie —
Wietrzą zwierza! Ha! widzicie
Hyeroglify te na szronie?
Nie hyeroglif to Mosanie!
Oko strzelca wnet odczyta,
Skoro tylko spojrzy na nie:
To odyńca są kopyta!
To trop świeży!... Zagraj stary
Wietrzy — z drążka już się zrywa.
Chłopcze! — puścisz ztąd ogary!
Wnet mu piosnkę się zaspiewa!
My od kopców zajedziemy,
Gdzie parowy się krzyżują —
Od granicy tam staniemy —
A trzej — skrzydła niech pilnują!
Dalej! dalej! koniu mój!
Tam nas czeka krwawy bój!

Słyszysz? — Zagraj się odzywa,
Już naszczekał u barłogu, —
Dzik się tego nie spodziewa,
Że go ktoś powita w progu. —
Już głos drugi... trzeci... czwarty...
Kwintet... sextet... ba!... chór cały!...
Te ogary rwą, jak czarty!
Już z barłogu go wygnały!
Jakaż cudna to muzyka!
Czyżby Mozart taką stworzył?
Złóż tu strzelca nieboszczyka —
A z pewnością wnet by ożył.

Jak uroczo tam spiewają!
Dzik się wymknął — więc „crescendo"
To znów: „piano", gdy trzymają —
I już tuj — tuj, przy nas będą. —
Jak bolesne słychać jęki! —
Pies na dziczym skonał zębie. —
Zeskocz z konia. — Broń do ręki!
I jak posąg stój przy dębie!

Cóż za lament słychać w borze
W tym gąszczaku — tuż na przedzie —
Jak się krzaki gną w pokorze!
To król lasów tędy jedzie!
Widzisz? jego łeb olbrzymi —
Z tą koroną ze szczeciny?
Jak samowar nozdrze dymi,
Pjany kłębek wypluł siny.
O! Patronie mój Nemrodzie!
Za tę chwilę wielbię ciebie!
Ty — po ziemskim mym pochodzie
Wiele takich daj mi w Niebie!
Strzelcze! — zimno! — broń pod oko!
Teraz dzik na połeć rusza —
Mierz w komorę — nie wysoko —
Bo w komorze mieszka dusza.
Kulo moja! — leć co siły!
Nabój prysnął — i wiatr wionął —
Zwierz się zachwiał, jak napiły,
I w gąszczaku znów zatonął.
A psów lament w bliżu taki,
Że się zdają chodzić knieje.
Więc za tropem! Dalej w krzaki!
Tam się coś strasznego dzieje!
W szronie tropy wyciśnięte,
Krwawe strugi aż skąpały
Krzewiów listki — mrozem ścięte,
Jak w purpurę się ubrały.
Dalej nieco, u stóp drzewa
Psiarnia szarpie coś z zapałem,
I tryumfu hymny spiewa
Nad drgającem króla ciałem.
Jeszcze kłami drzew konary
Rąbie — miota w różne strony —
Bo z wściekłością Zagraj stary
Szczeć wydziera mu z korony.
Więc kordelas ostry błysnął...
Król na martwem legł posłaniu.
Kłami klasnął — nozdrzem świsnął —
Młodą brzózkę ściął w skonaniu. —
I drużyna nasza cała
Przyszła. — Trąbki w chór zagrały —
Psiarnia wyciem zaspiewała —
I to króla pogrzeb cały. —

KSIĄŻE WOJEWODA TROCKI

przez

A. BARTHELSA.

Niepodobna prawie mówić o polowaniu litewskiem, pomijając dom Radziwiłłowski. — Posiadacze znacznej części ziemi litewskiej, przeważnie i dziś leśnej, podówczas zaś, jednym prawie ciągiem lasów będącej, — nie mogli Radziwiłłowie nie być myśliwymi. To też od najdawniejszych czasów przechowują się podania łowów Radziwiłłowskich, ale te przechodząc z ust do ust, z pokoleń na pokolenia, z dodatkiem zwykłych myśliwym kłamstw i exageracyi, nie na wielką dziś zasługują wiarę, i często dobremu myśliwemu przypominają brednie pisane przez markiza de Foudras w Journal des chasseurs, o polowaniach naszych, między któremi jest i Radziwiłłowskie na niedźwiedzie i łosie na stepach ukraińskich, z myśliwstwem ubranem po hiszpańsku i z damami w strojach z czasów Ludwika XIV.

Chcąc mówić o litewskiem polowaniu, a mówić czystą prawdę, nie potrzebujemy sięgać tak daleko, i dość nam będzie opisać, co się jeszcze na początku bieżącego stulecia w tych lasach działo, żeby dać wyobrażenie i obfitości zwierza, i doskonałości myśliwstwa, i zamiłowania rozrywki myśliwskiej w ówczesnem społeczeństwie naszem.

Z tego względu nie widzę nawet potrzeby mówić o myśliwstwie i polowaniu sławnego księcia Karola Panie Kochanku, jakkolwiek bowiem wątpić nie można, że takowe musiały odpowiadać bogactwu najmożniejszego w owe czasy litewskiego Pana, za autentyczność podań o nich ręczyć nie można, tem bardziej, że poszukiwania na miejscu nader mało, i to niepewnych dostarczają materyałów. Za nadto książe Panie Kochanku był człowiekiem publicznym, żeby w owych czasach i okolicznościach mógł bardzo oddawać się polowaniu, które w obec sejmów, konfederacyi, ówczesnych niesnasek i zatargów domowych, wreszcie działań wojennych, służyć mu raczej mogło za środek utrzymania stosunków z ludźmi, jak za cel rozrywki.

Jakoż daleko więcej mamy podań o ucztach i bankietach, towarzyszących polowaniom w Białej, Omhowiczach i Nalibokach, jak o samych polowaniach, o których uczestnicy w nich nie więcej zapewne mogli powiedzieć, co hrabia Seweryn Rzewuski, także naoczny świadek przyjęcia króla Stanisława Augusta przez księcia Karola w Nieświeżu, o fajerwerku urządzonym na stawie Nieświeżskim, przedstawiającym jakoby zdobycie Gibraltaru: „Mości Dobrodzieju, bardzo to było piękne, ale ja nie wiele z tego widziałem, bo przyznam się Mości Dobrodzieju, że kompletnie wtedy byłem pijany." Zamiast zatem powtarzać, co się z podobnych źródeł czerpać mogło, pomówimy lepiej o polowaniach i myśliwstwie, nie tyle możnego Pana i znanej w kraju z innych względów osobistości, ale niezaprzeczenie najlepszego owych czasów myśliwego, jakim był książe Józef Radziwiłł, Ordynat Klecki i Dawidgrodzki, a ostatni wojewoda Trocki.

Pan ten, który z tych smutnych dla kraju czasów wyszedł, jak sam zwykł był o sobie mówić, tyle tylko szczęśliwie, że się niczem nie przyczynił do jego zguby, zszedłszy z pola publicznego, na którem nie udało mu się także niczem odznaczyć, podeszłego już wieku i ułomny, założył sobie rezydencyę w dobrach ordynacyi Kleckiej, na której dotąd zbywało, w folwarku Sopotwiny, o milę od miasteczka Klecka położonym, którą nazwał Radziwiłmontami. Wybór tej miejscowości zrobił jedynie dla bliskości lasów i polowania, które namiętnie lubił, a jakkolwiek dwór z dwustu przeszło osób samej służby złożony, przedstawiał już coś znakomitego, była to raczej osada myśliwska, jak rezydencya magnacka. Pałac drewniany, dwie oficyny także drewniane, budowy Gucewicza, najlepszego podówczas budowniczego w Wilnie, i kilkanaście domów dla oficyalistów i służby, stanowiły wygodne ale nie okazałe na stare lata jego schronienie. Myśliwstwo w tem zajmowało najwybitniejsze stanowisko, jak tego dowodzili nie dawno jeszcze żyjący świadkowie, ale też i rachunki, oraz etata myśliwskie, pozostałe dotąd w archi-

wum. — Utrzymanie i opłata dwóch Łowczych, sześciu podłowczych, trzydziestu konnych szczwaczy i myśliwców, kilku dojeżdżaczy i kotłowych, kilkudziesięciu swor gończych i smyczy chartów, oraz kilkudziesięciu koni, nie małe na owe czasy kosztowały summy, tem bardziej, że myśliwstwo to nie tylko z wielkim porządkiem i smakiem, ale i z pewnym zbytkiem było utrzymane i ubrane. Kurtka krojem kontuszowym letnia z zielonego sukna z potrzebami, zimowa także, podbita baranem lub wilkiem, burka z kapturem, czapki uniformowe letnia i zimowa, długie buty na służbę pieszą, a rajtuzy ze skórą do konia, torba borsucza, pas z pendentem herbowym, trąbka rogowa, harapnik przez plecy i strzelba pojedynka, stanowiły wygodne a razem pokaźne ubranie myśliwca; kulbaka z trokami i uzdeczka, rynsztunek konia, a jak to było praktyczne a razem porządnie i trwale robione, najlepszym dowodem jest, że też same wojewodzińskie trąby, harapniki i po większej części wszystkie rekwizyta myśliwskie przechowują się dotąd, lub na ich wzór się odnawiają w myśliwstwie Radziwiłłmontowskiem, bez potrzeby zmian jakichkolwiek, zachowując ten czysto swojski charakter, stokroć powabniejszy od francuzczyzny i anglelszczyzny, wprowadzonych dziś do polskiego łowiectwa.

Jak ubranie i uzbrojenie, tak i edukacya wojewodzińskiego myśliwstwa nie zostawiała nic do życzenia, kilkaset chat strzeleckich dostarczało najlepszego na ten cel materyału, w chłopcach młodych, zdrowych i przystojnych, a od dziecka obznajomionych z lasem, osoką i wszelkiego rodzaju polowaniem. Każdy zanim dostał się do dworu, umiał już niezawodnie trąbić, obejść się z bronią, psem i koniem, a znał topografię swej miejscowości niegorzej od najstarszego tejże mieszkańca, co z dodatkiem wrodzonej ochoty i zamiłowania łowów, aż do tego, co Francuzi nazywają *feu sacré*, w krótkim czasie robiło go doskonałym myśliwym, strzelcem, szczwaczem lub dojeżdżaczem. Ćwiczenia myśliwskie z wojskową odbywały się pedanteryą. Naprzód chłopców uczono strzelać do tarczy, potem do tak zwanej kręciółki, czyli do toczącego się po ziemi w całym pędzie drewnianego kółka, potem do wyrzucanych w górę kamyków i monet szrotem, a kulą do zawieszonej na końskim włosieniu ołowianej kulki, którą zbić trzeba było. Ćwiczeniom tym asystował często książe, nadgradzając najlepszych strzelców, lub strofując niezręcznych. Znałem starca, głowę leśnickiej chaty we wsi Otwerżycach na Polesiu, który nosił miano *Dobrodzieja* dla tego, że książe Wojewoda złowiwszy go na jakimś fortelu przy strzelaniu do kulki, skutkiem którego trzy razy, raz po raz, udało mu się zbić kulę, powiedział mu: „A *Dobrodzieju* to ty kpisz sobie ze starego, jak ja, strzelca“, poczem skazał go na pięć harapników po rajtuzach, rękami pięciu pobitych przez niego tym fortelem współzawodników, dla wstydu i pamięci, która się też po dziś dzień utrzymuje w myśliwstwie Radziwiłłowskiem, czego najlepszym dowodem jest to przypadkowe miano, zastosowane do całej rodziny, która się i dziś chatą *Dobrodzieja* nazywa.

Lubił także książe Wojewoda wprawiać swoich rekrutów w trąbieniu rozmaitych sygnałów, jako to: *pojezdnego*, *wyciągłego*, na lisa, na niedźwiedzia i t. p. Karmienie zaś psów odbywało się rano i wieczorem każdego dnia, przy odgłosie wszystkich trąb znajdującego się w tej chwili we dworze myśliwstwa, co miało być najmilszym dla uszu księcia koncertem. Z takiem usposobieniem i myśliwstwem, nic dziwnego, że stary Nemrod nie potrzebował i nie lubił innych rozrywek; to też do najpóźniejszej starości polował, i w każdym rodzaju polowania był mistrzem.

Ile zaś w lasach jego było zwierzyny, dość powiedzieć, że w r. 1812 chcąc mieć większy od zwyczajnego zapas mięsiwa, bulionu i pekeflajszu na potrzeby wojsk przechodzących, nakazał polowanie, w którem już sam udziału brać nie mógł, na którem między innemi, w jednym ulubionym jego ostępie Olmany, zabito jednego dnia 99 łosi.

Powiemy nawiasem, że ostęp ten tak był szanowany, iż chłopi nie inaczej przezeń przechodzili i przejeżdżali, jak z czapką w ręku, ponieważ strażnicy i leśnicy wmówili w nich, że w nim siedzi *duch samego kniazia*. Letnią porą jest on dla otaczających go błot całkiem niedostępny. Zimową porą za to, doskonała sanna droga prowadzi do po dziśdzień exystującej osady myśliwskiej, zwanej Koszarami Olmańskiemi, którą książe Wojewoda zbudować kazał na kilkudniowy corocznie swój pobyt z myśliwstwem, w tym prawdziwym mateczniku wszelkiego zwierza. — Z wszystkich polowań najlepiej lubił książe polowanie na głuszce na tokach i na niedźwiedzie. — Dla ułatwienia sobie pierwszego, wymościć kazał w lasach Deniskowickich wszystkie miejsca mokre i grząskie, po których wiek nie pozwalał mu już z łatwością skakać, brusami towarnymi, które i dotąd w znacznej części się zachowują, ułatwiając niepomału dzisiejszym myśliwym to trudne z wielu względów polowanie. A dotąd także podtrzymują się starannie w tychże lasach tak zwane *Stany* głuszcowe przez niego pobudowane, czyli budy bardzo wygodne i praktycznie obmyślone dla noclegów i wypoczynków, w pobliżu miejsc głuszcowych. — Nic zaś tak nie lubił, jak gawędy i dysputy o polowaniu na głuszce, między któremi znaną jest następująca, malująca dobrze charakter księcia, anegdota.

Jednym z łowczych jego był szlachcic Kurkowski, doskonały myśliwy, ale któremu książe Wojewoda na przekorę lubił dowodzić, że do wszystkiego tęgi, do głuszca skakać nie umie, czem biednego Kurkowskiego do ostatniej exasperacyi doprowadzał. —

Razu jednego, w podobnej dyskusyi Kurkowski, żeby przekonać księcia, że nie gorzej od niego skakać umie, porwawszy do rąk fuzyę, wiszącą na ścianie, stanął jak do strzału, mówiąc:

— Graj książe, a ja będę skakać.

Książe zrozumiawszy natychmiast, o co idzie, stanął w kącie pokoju, i z całem przejęciem się swą rolą głuszca, zaczął grać: *Telen, telen — telen telen... te te te te kłap.* Tu Kurkowski podług prawideł skoczył, ale zaczepiwszy końcem fuzyi o serwantkę z porcelaną saską, zrzucił z niej piękny wazon, który rozbił się na drobne kawałki.

— A bodaj cię wszyscy!... krzyknął książe Wojewoda, ale Kurkowski, niemniej przejęty swą rolą:

— Cicho Mości książe, hłuszca spłoszysz! —

A książe, jakby zawstydzony, że mógł się tak zapomnieć, napowrót do kąta i dalej telękać, kłapać i czyhitać, póki się oba nie opamiętali i nie parsknęli serdecznym śmiechem.

Często się potem z tego śmieli, ale w tej chwili ani wątpili, jeden, że jest głuszcem, a drugi, że skacze pod niego.

Szczęśliwi ludzie, których takie tylko spory waśniły i którzy je w taki sposób kończyć umieli.

Polując na grubego zwierza, książe strzelał z tak zwanej altany, — była to z czterech ścian składająca się budowelka z desek, nakształt wieży, kilka łokci wysoka z wygodnem siedzeniem i stołem, na którą myśliwstwo napędzało zwierza. Na stole leżało zawsze siedm pojedynek, rozumie się skałkówek, które książe sam sobie nabijał, i nieraz zdarzało się, że z wszystkich siedmiu, chwytając jedną po drugiej wypalił, i kilka sztuk świń lub łosi trupem położył. — Jest nawet podanie, że razu jednego, niedźwiedź ranny przez niego, rzucił się na altanę i

łapy swe na jej krawędzi już oparł. Trzymany na celu przez kilku myśliwców, byłby i bez tego opłacił swoją zuchwałość, ale książe Wojewoda krzycząc:

— Nie strzelać! nie strzelać!... sam go dwoma strzałami swoich pojedynek powalił.

Dwaj z tych myśliwych, których znałem, Moroz i Sielej dowodzili, że altana pod pazurami Maruchy już się chwiać zaczynała, ale za autentyczność tej wersyi ręczyć bym się nie ośmielił.

Pod koniec życia, nie mogąc wydalać się z domu, książe urządzał sobie tego rodzaju polowania. Kilku gości i myśliwstwo polowało w Kołkach, Łoktyszach, Moroczy lub Deniskowiczach, to jest, od trzech do sześciu mil odległości, ale rozstawieni chłopi co kilkadziesiąt kroków, od ostępu do drzwi jego pokoju, dawali znać, co się dzieje w ostępie, z szybkością dzisiejszego telegrafu elektrycznego.

— *Padawaj, szto Siemko spudłowau da łosia!* — podał łowczy...

I wiadomość z ust do ust podana przelatywała aż do księcia, który ubrany w kurtkę myśliwską, z torbą przez plecy, grał z sąsiadami podobnież przebranymi w maryasza, w pokoju przystrojonym z myśliwska jodełkami, i naśladującym do niepoznania leśne jakieś schronienie myśliwskie.

— *Podawaj, szto Siemko dureń!* — odpowiada książe.

Podawaj, podawaj, powtarza jeden, drugi, dziesiąty, setny aż do ostępu. i decyzya księcia obiega cały ostęp w koło, aż do łowczego, a następnie do biednego Siemki, jedynego człowieka, który ją bez śmiechu przyjmuje.

I tak przez dzień cały, tym starego autoramentu telefonem komunikacya i wiadomości o polowaniu aż do sakramentalnego, *podawaj, kab wyciahali!* to jest, żeby psy wyciągali, którem książe każe koniec polowaniu położyć.

Żeby dobrze zrozumieć użyteczność tego *podawania*, trzeba naprzód poznać porządek litewskiej obławy.—Myśliwstwo i kilkaset ludzi obławy, zbiera się na brzegu spolować się mającego ostępu w miejscu, które się nazywa *rozdejmem.* Tu, pod wodzą dwóch tego ostępu osoczników, następuje objęcie ostępu dwoma skrzydłami. Gdy osocznicy prowadzą skrzydła na lewo i prawo, rozstawiając co kilkanaście kroków obławników, przez ten czas łowczy i podłowczy robią tak zwane *dziesiątkowanie,* to jest, że za każdym dziesiątym mijającym go chłopem, stawia myśliwca lub strzelca, który porządek w swoim dziesiątku powinien utrzymywać.

Wszystko to odbywa się w największem milczeniu. Punkt, w którym oba skrzydła się schodzą, nazywa się *stoki.*

Zetknąwszy się z sobą, osocznicy robią pierwsze podanie.

— *Podawaj, szto staczali!* — które dochodzi aż do łowczego, stojącego przy psach i dojeżdżaczach u *rozdejmów.*

Wtedy łowczy daje rozkaz: — *Padawaj, kab ohni kłali!* Podanie obchodzi w koło ostęp, — następuje rąbanina i rozpalanie ognisk, bardzo pożądane dla wszystkich. — I ostęp jest objęty, a polowanie gotowe. — A łowczy w oczekiwaniu na księcia i gości od czasu do czasu daje rozkaz tylko:

— *Padawaj, kab pilnawali!*

Następują potem podania:

— *Padawaj, szto kniaź jedzie!*

— *Padawaj, kab sabaki puskali!*

Poczem aż do końca polowania idą tylko rozkazy księcia lub łowczego potoczne o furmanki, mające wywieść ubitą zwierzynę z ostępu, o taki lub owaki kierunek dojeżdżacza z psami, a także zapytania i na nie odpowiedzi, kto co zabił, ile świń lub łosi przerwało przez obławę, jakiego psa ściął dzik, kogo niedźwiedź poturbował i t. p. Dziesiętnicy czyli strzelcy i myśliwcy utrzymują porządek *podawania* i exekucyi rozkazów.

Jak zaś lud tameczny wprawiony jest do tego rodzaju *podań,* i jak regularnie to *podawanie* się wykonywa, dowód mamy w następującej anegdocie:

Na polowaniu u księcia Ludwika Radziwiłła, sukcessora księcia Wojewody na Ordynacyi Kleckiej, znajdował się brat jego książe Walenty, bardzo przyjemny, wesoły i światowy, w Paryżu stale prawie zamieszkały, ale nie myśliwy i mało Litwę znający. — Porządek i okazałość polowania, na którem się znajdował, bardzo mu się podobały, a mianowicie te *podawania,* w których podziwiał spryt i przytomność chłopa litewskiego

— Ale ja myślę — rzecze do księcia Ludwika — że oni nie potrafią nic podać prócz tego, co się do polowania ściśle odnosi...

— *Podawaj, szto Walutko jest głupi!* — zakomenderował książe Ludwik...

I z wielką pociechą księcia Ludwika, gości i samego księcia Walentego, wiadomość ta obeszła cały ostęp, i aż do grona grzejęcych się przy ogniu panów wróciła. —

Wróćmy i my do księcia Wojewody, grającego w maryasza z pulą i assystującego jednocześnie polowaniu o kilka mil dalej.

Zastawiano, jak w ostępie, w samo południe myśliwskie śniadanie, w którem główną rolę grał bigos hultajski, przygrzany w tymże samym pokoju na kominku, przez faworytalnego książęcego bartnika Kozła, i przystępowano do niego kolejnem przepiciem faworytalnej także księcia wódki, cynamonówki, której książe codzień kieliszek przed zakąską wypijał, mówiąc z pewnem rozczuleniem w głosie:

— Panie ale, cinamonówka!

Szeplenił bowiem, a *panie ale* było jego przysłowiem tak częstem, jak *panie kochanku* księcia Karola. —

Ponieważ wymówiłem nazwisko Kozła, warto i o nim nieco obszerniej pomówić.

Kozioł czyli *Kaziol,* jak go książe Wojewoda szepleniąc wymawiał, był to zamożny chłop ze wsi Bałwani, przyległej Radziwiłłmontom, który przy wielkiej uczciwości i biegłości w pszczelnictwie i myśliwstwie, miał jeszcze talent bawienia księcia swoimi konceptami, dykteryjkami, bajkami, bredniami i opowiadaniami, bądź prawdziwemi, bądź zmyślonemi, które dowodziły nie małego też dowcipu i sprytu, tego zkądinąd całkiem nieokrzesanego człowieka. Zwykle się zjawiał w pokoju księcia Wojewody wieczorem, w mokrych najczęściej łapciach, i czy byli goście lub nie, bez ceremonii usiadłszy na zydelku przy kominie, zdejmował łapcie i suszył je przy ogniu, czekając, aż się goście rozejdą i książe do snu się ułoży. Wtedy na zwykły rozkaz księcia:

— Nu szalabani Kaziol *) — zaczynał opowieść naprzód prawdziwą wszystkiego, co przez cały dzień widział, słyszał i robił, kończąc czemś, co księcia z początku interesowało, bawiło, a nareszcie należycie do snu usposobiło. Najczęściej opowiadał Kozioł podróż swoją do nieba i rozmowy, jakie tam miewał ze świętym Józefem, patronem księcia Wojewody. W tych chytry a poczciwy chłop starał się zawsze w imieniu świętego patrona dać księciu jaką dobrą radę, bądź co do jego zdrowia, bądź interesów, mitygując nieraz gniew księcia na którego z sług lub poddanych, lub zachęcając do jakiego do-

*) Szałabanić, po chłopsku bredzić bez sensu, bajać, pleść duby smalone.

*

brego uczynku, niekiedy nawet łając księcia za niektóre jego małe grzeszki przeciwko zwłaszcza 6mu przykazaniu, których się książe dopuszczał więcej mową jak uczynkiem, a gdy ten nieraz zadraśnięty pozornie tem zuchwalstwem sługi, przerywał mu: — Jak ty, łajdaku, śmiesz mnie takie rzeczy mówić?.. — To nie ja, Mości Książe, ale święty Jozef tak mówił — odpowiadał zimno Kozioł, i dalej prowadził rzecz swoją, przykładając drzewa na kominek. — Jak już książe usnął, nakładał łapcie i po cichutku wynosił się z pokoju do przedpokoju, w którym niekiedy noc spędzał, albo na folwark, gdzie miał swoją stałą stancyę i skład rozmaitych rupieci, odnoszących się do jego obowiązku bartnika.

Tak trwało długo, a chłop mający ucho i łaskę księcia, nie potrzebując zbytnie pracować ani u siebie w domu, gdzie go synowie dorośli aż nadto zastępowali, ani we dworze, gdzie obowiązek jego był rodzajem sinekury, rozleniwiał i zaczął się napijać. Książe, najwyrozumialszy na wszystkie ułomności sług swoich, pijaństwa i pijaków znieść nie mógł, gdy więc kilka ojcowskich upomnień żadnego nie wywarły skutku, zapowiedział Kozłowi, że za pierwszem upiciem się dostanie sto bizunów. Nic to nie pomogło, i jednego pięknego dnia Kozioł spiwszy się jak nieboskie stworzenie stawił się na wieczorne swe z księciem posiedzenie w takim stanie, że go co najprędzej za drzwi książęcej sypialni wytransportować musiano. Nazajutrz wytrzeźwiony Kozioł miał sobie zapowiedziane, że na mocy wyroku księcia, spisanego pod jego dyktówką, przez sekretarza książęcego Pana Nikodema Szymańskiego, otrzyma w samo południe na dziedzińcu zapowiedzianą karę. Z początku myślano, że książe da się przebłagać, nuż więc wszyscy w proźby za nim, ale gdy spostrzeżono, że to nic nie pomaga, i że książe na dobre rozgniewany chce swój wyrok w całej rozciągłości na skórze biednego Kozła widzieć wykonanym, rzucono się do ostatniego środka ratunku, to jest do księżniczek: Konstancyi i Anny, córek księcia, które po długich korowodach i błaganiach aż do łez posuniętych, wyjednały u księcia uwolnienie od kary równie bolesnej jak poniżającej z warunkiem zobowiązania się pod przysięgą, że się już nigdy w życiu swojem nie upije. Znowu więc po pana Nikodema Szymańskiego, któremu książe podyktował cały arkusz roty przysięgi, a tę upokorzony Kozioł powtórzyć musiał słowo po słowie na klęczkach przed stołem czarno pokrytym, na którym leżały dwie nabite i odwiedzione z obróconemi ku niemu wylotami pojedynki. — Po odbytej ceremonii biedny Kozioł przejęty ważnością zaprzysiężonego ślubu tak widać gorąco przyjął go do serca, że przed wieczorem jeszcze spił się lepiej jak kiedykolwiek i byłby niezawodnie nie uniknął podwojonej ilości arkuszy wyroku i batów, gdyby nie wstawienie się Pana Podkomorzego Czarnockiego (ojca znakomitego Zoryana Chodakowskiego), który przełożywszy księciu, że pijaństwo jest chorobą nieuleczalną nawet batami, otrzymał od księcia zamianę kary cielesnej na wieczne wygnanie Kozła z dworu do rodzinnej Bałwani i obrócenie w pańszczyznę — Nowy więc arkuszowy dekret i odczytanie takowego publiczne obżałowanemu recydywiście. — Wrócił zatem Kozioł do chaty, ale pańszczyzny do folwarku Achrymowicz swoją drogą nie odrabiał, ponieważ rządca i ekonom znali księcia i wiedzieli, że ta burza długo trwać nie może. — Książe wszakże przy każdej z nimi konferencyi nie zaniedbywał ich zapytywać:

— A czy Kozioł odbywa pańszczyznę?

— Najregularniej, Mości Książe... było zwykłą ich odpowiedzią. — Proszę bardzo — dodawał książe — ażeby odbywał osobiście, bo ja sam chcę go widzieć na polu. — I tak trwało przez całą zimę, w czasie której książe z zalecenia doktorów swoich, panów Płócińskiego i Pawłowicza, nie wychodził prawie z pokoju. — Na wiosnę wszakże, gdy zaczął już karyolką wyjeżdżać na słonki, zmiarkował ekonom Achrymowicki, że może kiedykolwiek i na jego folwark zawitać i zapytać o Kozła, starał się zatem mieć go zawsze pod ręką na wszelki wypadek zjawienia się księcia. — Jakoż razu jednego, ujrzawszy jadącą karyolkę, wysłał prędko w przeciwną stronę Kozła i kazał mu stanąć przy jednej parze wołów, orzących pole pod jarzynę. — Nadjeżdża książe, zadaje kilka pytań o gospodarstwie, a potem jakby od niechcenia zapytuje: — Panie ale, a czy nie ma Kozła na robocie? — Jest, Mości Książe, z wołami na poletku jarzynnym. — Pokaż mi go Wasan... Ujrzawszy Kozła prowadzącego sochę i ani patrzącego w jego stronę. — A! łajdaku — zawołał, cóż to, czy mnie już nie widzisz, że się na mnie ani nie obejrzysz? — Zdjął czapkę Kozioł, skłonił się nisko, nie mówiąc ani słowa.

— A dobrze ci tak, nie chciałeś być przy mnie, musisz za to teraz ciężko pracować.

— Dziękować za to księciu i Bogu, odrzekł chytrze Kozioł — przynajmniej teraz przy pracy człowiek się nie nudzi i nie grzeszy, a to w tym pokoju toby się do reszty przy kominku rozpróżniaczył, rozleniwiał i rozpił. — Daj Boże księciu za to zdrowie...

— Siadaj tu łajdaku — wrzasnął książe, wskazując mu zwykłe jego miejsce u nóg swoich w karyolce — nie lubisz mojego pokoju, otoż będziesz musiał w nim siedzieć.

Na pochwałę Kozła dodać należy, że powrócony do dawnych łask i przywilejów, umiał na nie do końca życia swojego zasłużyć, nie upijając się nigdy, a przynajmniej bardzo ostrożnie i nie bijąco w oczy, i przechodząc sam siebie w opowiadaniu swoich peregrynacyi do nieba i poufnych stosunków z patronem księcia Wojewody. Nic tylko ten jeden ustęp dowodzi dobroci serca i ojcowskiej prawdziwie opieki zacnego księcia nad wszystkimi, którzy się do niej uciekali. Raz bowiem, gdy mu przedstawiano potrzebę zwinięcia zbyt kosztownego dworu, a przynajmniej usunięcia całkiem mu niepotrzebnych indywiduów, odpowiedział: — Tak panie ale, oni mnie nie potrzebni, ale ja im potrzebny, niech tak więc zostanie, jak dotąd było. I miał racyę książe, bo długi, jakie na Ordynacyi zostawił, nie były tyle z racyi kilkudziesięciu biedaków na nic mu nie potrzebnych, których karmił ze swojej kuchni, ile z racyi tych, którzy mu odradzali ich karmić. —

Przytoczone przez nas anegdoty wraz z wielu innemi przechowują się w całej włości Radziwiłłowskiej nie bez pewnych korzyści dla późniejszych pokoleń równie Panów jakoteż i sług, którym ten dawny patryarchalny stosunek jako tako i dotąd, pomimo wielu przeciwnych mu całkiem warunków, przyświeca. Bodaj nawet, czy nie tego rodzaju, a zwłaszcza myśliwskim stosunkom zawdzięcza Litwa spokój ze strony włościan, mniej jak gdziekolwiek chciwych cudzego dobra, i mniej jak gdziekolwiek nieprzyjaznych dla dawnych swoich Panów, dziś zaś sąsiadów.

Niepodobna bowiem, żeby ludzie, którzy od kilkunastu pokoleń razem polowali, przy jednem ognisku spoczywali, przez długie lata myśliwskie prowadzili z sobą rozmowy, i ocierali się, że tak powiem, z sobą latami całemi, na łowach będących dla chłopa litewskiego rodzajem uciechy raczej jak obowiązku, nie zżyli się z sobą lepiej, jak ci, których często tylko sprzeczne z sobą interesa rolniczego gospodarstwa zbliżały, — a dowód tego mamy na chłopach z okolic leśnych i błotnych, dużo pod każdym względem wyrozumialszych i przychylniejszych dla

swoich dawnych panów, od mieszkańców okolic bezleśnych a żyznych i w dobre ziemie obfitych.

Chłop polowy wszystko czerpie z ziemi i chciałby mieć jej jak najwięcej.

Poleszuk tyle ma korzyści rozmaitych z błot i lasów, że byleby mu niezbyt broniono użycia w nich siekiery, kosy, strzelby i włoka, *) a babie jego zbierania grzybów i jagod, czuje się szczęśliwym i niczego sąsiadom swoim nie zazdrości — a taka tam obfitość jest wszystkiego, że nikomu krzywdy nie robi, używając tych darów Bożych na swoje tylko ściśle potrzeby. Jak zaś Poleszuk lubi polowanie, przekonałem się nieraz, nocując z nimi w stanie głuszcowym. Udając, że spię, słuchałem ich rozmów przy ognisku, i nigdy innej rozmowy prócz o polowaniu, nigdy innych wspomnień, prócz myśliwskich, nie zdarzyło mi się słyszeć. Dzieci nawet już są myśliwymi, to też lubiłem zawsze słuchać gwaru chłopaków kilkunastoletnich, jakich używa się do naganki jarząbków, zmierzających gromadnie przez las na punkt zborny — po wrzosach zaledwie przypruszonych pierwszym śniegiem. Tam, gdzie mniej wprawne oko nic zgoła nie dostrzega, malcy te pokazują jeden drugiemu tropy łosie, dzicze, sarnie, wilcze i lisie z zadziwiającą precyzyą, nawet co do ilości sztuk, które przeszły przez drogę. Na śniegu zaś nawet ślady ptactwa poznają. Nic dziwnego zatem, że z tego wyrastają wyborni osocznicy, zapaleni myśliwi i niezmordowani, jak oni się sami nazywają *skorochody*. Sześć do dziesięciu mil pieszo, kiedy idzie o dobre polowanie i o popisanie się z niem przed ludźmi, dla nich jest niczem.

Po śmierci księcia wojewody, myśliwstwo pod rządami nowych Ordynatów, księcia Ludwika i syna jego, księcia Leona Radziwiłłów, namiętnych także myśliwych, utrzymało się w dawnym porządku i sławie. Polowania wiosenne na głuszce, cietrzewie i słonki, letnie na gniazdowe wilki, a z ptactwa na kaczki, bekasy i młode cietrzewie, jesienne na zające i lisy z gończymi i chartami i na jarząbki z naganką, wreszcie zimowe na łosie, świnie sarny i niedźwiedzie, — nie ustępują polowaniom wojewodzińskim, i warte są szczegółowego opisu. Wszystko się u nas do niepoznania odmienia, i polowanie litewskie uledz zmianom może, wszak już zaczęto osuszać błota Poleskie, nie wiem, czy na czyją korzyść, ale niezawodnie na wielką szkodę myśliwstwa. Starajmy się o niem przekazać dalszym pokoleniom choć jakie takie wspomnienia.

*) Siatka do łowienia ryby.

KORESPONDENCYE.

Rzym 26 Stycznia 1878.

Nie wiem, czy przed odbiciem Numeru 2. organu waszego dojdzie was list mój, mili bracia, lecz przebaczcie, byłem wciąż w drodze i nie miałem chwili czasu, aby usiąść z wami koło kominka i pogawędzić swobodnie; wierzajcie mi — prawdę mówię — nie jako myśliwy w kniei lub przy kieliszku, lecz tym razem jako turysta z Bedeckerem w ręku, a teraz niby artysta z pendzlem i paletą. Jestem już w Rzymie, i pod tem niebem, gdzie duchy Michała Anioła, Rafaela, Correggia unoszą się nad moją głową i zagrzewają do pracy nagromadzonemi arcydziełami sztuki, — Cezary, Tyberyusze i Klaudyusze rozbudzają imaginacyę wspomnieniem przeszłości — a siedząc w Coloseum dumam, jak Maryusz na gruzach zburzonej Kartaginy, nad tą minioną świetnością. — Watykan, kościoł św. Piotra — freskami, mozaiką, stylem i rozmiarami budowy zdumiewają i każą zapominać o teraźniejszości, — unosząc ducha wyżej, coraz wyżej... aż ku niebiosom; wtedy mimowolnie uginasz kolano i korzysz się, przepełniony nieodgadnionem uczuciem, które cię ogarnia.

Przebaczcie waszemu koledze, iż zapomniawszy, że stoi na stanowisku korespondenta organu łowieckiego, marzy i buja po niebiosach, i zamiast o rogaczach, dzikach lub zającach prawi niestworzone rzeczy.— Lecz wierzajcie mi, iż każdy prawdziwy myśliwy, mając tak bliską styczność z naturą, musi mieć cząstkę poezyi w duszy. I tak często, stojąc na stanowisku, podziwiasz piękność drzew i krzewów, lub marzysz o przeszłości; — przychodzą ci na myśl dawne dziewicze bory, dziś prawie zamarłe, — wspaniałe łowy przodków naszych itd. itd. Czyż to nie jest poetyzowaniem mimowolnem, gdy duch unosi się gdzieś w daleki przestwór minionych czasów, lub podziwia arcydzieła Boskiej natury? — Ale dajmy temu pokój — i wróćmy do rzeczy. — Skupiam więc wszystkie myśli, powracam do Was — do naszych śniegów, drzew okrytych malowniczym szronem i chatek wiejskich, mających tyle charakterystycznego piękna. Aby zaś Was przekonać, że wzdycham za wami i jest mi tęskno, — włożyłbym, jak Muciusz Scevola, rękę w ogień, gdyby nie ta okoliczność, iż nie mógłbym do Was pisywać, coby mi wielką przykrość sprawiło.

Obiecałem w ostatnim numerze podać w krótkości sposoby, którymi możemy przyczynić się tanim kosztem ku podniesieniu stanu zwierzyny w kraju naszym. Otóż najgłówniejszymi czynnikami są:

1. Organizacya dobra straży leśnej i polowej.
2. Pozbycie się rabusiów zwierzyny.
3. Najmowanie prawa polowania na gruntach włościańskich.
4. Hodowanie zwierzyny podczas ciężkiej zimy.
5. Tępienie nieprzyjaciół zwierzyny, jak lisów, jastrzębi itd.

Tych 5 przykazań powinien każdy obywatel, już nie mówię o myśliwym — nosić w pamięci i sercu. — Mówmy więc o punkcie pierwszym.

1. Organizacya dobra straży polowej i leśnej.

Najgłówniejszym czynnikiem utrzymania nadzoru tak w lesie, jak i w polu, jest straż leśna i polowa uczciwa i w karności trzymana. Aby dojść do podobnej straży, potrzeba mieć dobrych oficyalistów lub samemu zająć się tem szczerze i energicznie. Ze strażą tą trzeba postępować z rygorem wojskowym; każde przekroczenie, osobliwie w zakresie myśliwstwa, powinno być karane surowo. Aby zaś uniemożliwić straży leśnej i polowej popełnianie nadużyć niszczenia zwierzyny i nie kusić do złego, potrzeba zacząć od tego, że się usuwa wszelką taką broń palną, którąby mogła podsunąć im myśl polowania na swoją rękę. Najlepiej więc zaopatrzyć ją w broń *) nie szkodliwą zwierzynie, a dla niej dostateczną do obrony osobistej. Każdy prawie leśny i polowy ma u nas zwyczajnie pas i blachę, jako odznakę, do tych należy kazać zrobić z boku szlufkę skórzaną w celu umieszczania tam kordelasa, powyżej zaś podobną na dwururny pistolet. Bronią tą może w potrzebie utrzymać powagę swego urzędu, a nie naraża się go na częste męki Tantala; których nie jeden z uczciwszych doznawać musi, gdy mu zając

*) Wartość broni wyżej wymienionej, którą radzę dać służbie leśnej i polowej, jest: kordelas z rączką drewnianą, na czarno malowaną, z pochwą skórzaną — 4 złr. — Pistolet dobry kabzlowy — 5 złr. — Kordelasy bardzo dobre robi rusznikarz we Lwowie, mieszkający w rynku tam, gdzie była księgarnia K. Wilda.

pod drzewem lub w bróździe zakołkuje i skokami muska swe słuchy. — Trafia się, iż nie jeden ze służby leśnej lub polowej zabija ukradkiem zwierzynę, — lecz nie dla spekulacyi, ale z amatorstwa, mając niepohamowaną namiętność czyli żyłkę myśliwską. Gdzie zaś właściciel nie jest sam myśliwym i nie pojmując dobra ogółu, zezwala dowolnie buszować po lesie i polach swym oficyalistom lub innym dworakom — tam już nie mają granic nadużycia. Cała ta czereda opryszków, łącząc się ze służbą leśną, pod pozorem usług dla kuchni dworskiej, łupi bez miłosierdzia, co jest żywego, nie tylko już w obrębie swoim, lecz też wkracza ukradkiem do cudzych rewirów, niszczy zwierzynę, a co gorsza demoralizuje sąsiednią straż leśną. Niech więc nie myślą ci panowie, którzy tak lekkomyślnie postępują,— iż opływają ich stoły w całkowitą zwierzynę — nie! ledwo trzecią część jako haracz oddają ci rabusie swemu panu, a dwie części idzie w świat, przez Moszków i Icków za bezcen nabyte. Jakaż więc korzyść, pytam się? — Do czasu i tam znajdzie się nieco zwierza, gdyż z pobliskich lasów przemyka, ale w końcu i on i sąsiedzi nic mieć nie będą. Tacy więc obywatele, którzy nie lubiąc myśliwstwa, przenoszą rogacza lub zająca na półmisku, niech raczą pamiętać o *przyszłości i niech szanują zwierzynę* nie przez zamiłowanie, ale *dla własnego pożytku.* Najgoręciej przeto polecam tym panom powyższe uzbrojenie straży leśnej i polowej. — Jeżeli zaś nie dają polowań dla sąsiadów, a chcą mieć zawsze zwierzynę, to lepiej już wybrać jednego ze straży lub domowników, człowieka uczciwego i porządnego, i niechaj już ten, ale nie wszyscy — poluje, rozumie się w porze prawem dozwolonej.

2. Pozbycie się rabusiów zwierzyny.

Mając straż leśną i polową dobrze urządzoną, łatwiej jest pozbyć się tej plagi ogólnej, rabusiów zwierzyny czyli Kłusowników (Raubschütze). Do tego potrzeba trochę nakładu, gdyż wyznacza się nadgroda za każdą odebraną Kłusownikowi broń. — U mnie zaprowadzone są mniej więcej takie ceny: Od pojedynki dobrej 5 złr. — od gorszej 3 złr. — od dubeltówki dobrej 10 złr. — od gorszej 6 do 7 złr. — Oznaczając takie ceny usuwa się możność nadużyć ze strony służby leśnej, gdyż nie jeden z nich, mając taryfę stałą, nabyłby strzelbę wartości 3 złr., starą, połataną, jakie często nasi włościanie miewają — a wziąłby za nią 5 złr. — Czysty zysk 2 złr. i w dodatku dobra nota sprawowania. Dalej każdy leśny i polowy ma książeczkę, gdzie wpisuje leśniczy wszystkie szkody lub nadużycia, jakieby w przeciągu miesiąca wykrył, również kary, wyznaczone za niewypełnianie obowiązków. — Otóż do tej książeczki wpisuje się na jego korzyść kwota wyznaczona za odebraną broń, jakoteż i inne z grabieży mu przypadające. — Z końcem każdego miesiąca na sesyi ogólnej przegląda się książeczki, reasumuje, a odciągnąwszy 20% na rzecz Skarbu, resztę im się wypłaca. Procent powyższy składa się w kancelaryi do puszki. a z niego rośnie kapitał na wynagrodzenia nadzwyczajne, mianowicie: za celujące sprawowanie się, — za wyśledzenie jam lisich z młodymi lub z wiosną gniazd drapieżnego ptactwa. Tym sposobem wprawdzie jest chwilowy wydatek, lecz wziąwszy na uwagę wartość odebranej broni oraz pomnożenie zwierzyny, — zwraca się ten nakład z procentem. — Nie dosyć na tem, iż się odbierze broń rabusiowi, potrzeba jeszcze wnieść podanie do c. k. Starostwa, opisując cały fakt z proźbą o ukaranie winnego. — Kto zaś należy do Towarzystwa łowieckiego, obowiązany jest moralnie przesłać również do tegoż Towarzystwa sprawozdanie o całym przebiegu rzeczy, a Wydział natychmiast poprze skargę w c. k. Starostwie. Takim sposobem doszło u mnie do takiego stopnia polepszenia, iż prawie od jakiegoś już czasu nie waży się żaden rabuś stąpić na terytoryum moje. (C. d. n.)

Henryk hr. Łączyński.

W artykule wstępnym Nr. 2. wspomnieliśmy, iż umieszczając w kolumnach *Łowca* słownictwo łowieckie — nie dajemy rzeczy nowej — dogadzamy tem jedynie wielkiej potrzebie, a mamy zamiar, ile możności, najrychlej ogłosić słownictwo poprawione i uzupełnione z przydatkiem wyrazownictwa łowieckiego niemieckiego. W tej sprawie odbieramy następną korespondencyę:

Konty 27 Stycznia 1878.

Pierwszy Numer *Łowca* nabawił mnie nie małego kłopotu. Kilku członków Towarzystwa zaatakowało mnie, abym się tłomaczył (autor pracuje od dawna nad słownictwem łowieckiem. P. R.), dla czego wyrazy łowieckie w *Łowcu* umieszczone w formie słownika, zawierają słowa nieużywane, a czasem nawet zdrowemu rozsądkowi przeciwne, jak Achy (Linde), Antenaire (Kluk) i inne. — Z góry oświadczyć muszę, iż słownika łowieckiego nie dawałem do druku, że słownik w *Łowcu* umieszczony nie jest dokładny, a dokładnym być nie może, bo jest przedrukiem dzieła: *Pierwsze początki terminologii łowieckiej* przez *Wiktora Kozłowskiego. Warszawa 1822.* Każda nauka, każde rzemiosło ma i mieć musi swe techniczne i specyalne nazwy i wyrażenia, a nawet zwroty mowy, które się wytworzyły częścią dla dokładniejszenia objaśnienia pewnej rzeczy, częścią dla odróżnienia się od niefachowych i łatwiejszego wspólnego porozumienia się. — Hartig mówi w artykule: „*Waidmannssprache*“: „Jak długo łowcy tylko łowcami byli, musiało ich zatrudnienie i przebywanie w lesie wytworzyć zwyczaje i nawyczki odmienne od niełowców. Z wspólności zajęcia i zwyczajów powstało pewne poczucie łączności, które przeszło niemal w kastowość, spowodowaną czcią, jaką mieli dla swego zawodu i zajęcia... Owe zwyczaje i nawyczki, które wytworzyły kastowość, stały się z czasem prawem kastowem, — stały się symbolem. Do owych praw kastowych, do owych symbolów należało używanie języka łowieckiego.“ *)

Bardzo więc często przychodzą wyrazy odmienne od słów w zwykłej mowie używanych, które częścią powstały z obrazowego, przenośnego rzeczy nazwania, częścią z niewiadomych powodów, uświęcone jednak zwyczajem i wiekowem użyciem. I tak np: krew zowie się u jednego zwierza *farbą*, u drugiego *posoką*; nogi nazywają się u jednego *skokami*, u drugiego *biegami*, u innego *badylami* itd. Słownik w *Łowcu* drukowany nazywa sam autor: *pierwszym początkiem* — nie należy go zatem brać za ostateczne i jedyne źródło myśliwskiej terminologii. Przeciwnie wiele jest słów, które z autorów, niemyśliwych, wyjęte, odpaść muszą a przyjść natomiast inne z źródeł czerpane. Do autorów, którzy w języku myśliwskim powagami ostatecznie na są, gdzie „*obok błędów znajdujemy rzeczy wielce pożyteczne*“, **) zaliczam: Lindego, Kluka, Jundziłła, — a natomiast dodałbym do autorów przez Kozłowskiego użytych: Cygańskiego, Opalińskiego, Reja, — w części Hauera, a z nowszych przedewszystkiem: Szytlera, Mylkego, Siemieńskiego, Kurowskiego, Wodzickiego i wyrazownictwo Sylwana. — W ten sposób po-

*) Lexikon für Jäger und Jagdfreunde v. Dr. G. L. Hartig. Berlin 1831 str. 587—588.

**) Wodzicki: Sokolnictwo, str. 58.

prawiony i uzupełniony słownik Kozłowskiego, mógłby się stać rzeczywiście podstawą odrodzonego języka myśliwskiego polskiego.

Wł. z Ol. Gniewosz.

Zahajpol d. 22 Stycznia 1878.

Na polowaniu u kniazia Puzyny spolowałem trzech członków Tow. łowieckiego. Przy tej sposobności donoszę o rezultacie dwóch polowań. W Starym Gwoździcu, własności Stan. hr. Dzieduszyckiego odbyło się polowanie na dniu 5 Stycznia r. b. Polowano godzin cztery w siedmiu myśliwych i ubito na 76 strzałów 30 zajęcy.

Dnia 21 Stycznia odbyło się polowanie w Gwoździcu u kniazia Romana Puzyny — polowano pięć godzin w jedynastu myśliwych i ubito na 242 strzałów — 59 zajęcy. — Na tych dwóch polowaniach zakończymy zdaje się w tym roku, bo już spóźniona pora.

M. Jasiński.

Z nad Dunajca. Znaną jest może niektórym czytelnikom *Łowca* owa anegdota, w której zając występuje jako zwierze szkodliwe i drapieżne, po raz pierwszy, lecz nie ostatni od stworzenia świata, a przynajmniej od wypędzenia pierwszych rodziców z raju. Było to w którejś z niemieckich prowincyi monarchii austryackiej: Kłusownik oskarzony o przestępstwo popełnione przez zabicie zająca, tłómaczył się przed sędzią, że ubił to szkodliwe zwierzę, gdyż mu kapustę czy szczepki obgryzało. Sędzia rozczulony krzywdą obwinionego, uwolnił go i skarzącemu właścicielowi polowania kazał odszkodowanie Kłusownikowi zapłacić.

Ta sama historya w zmienionej nieco formie i z trochę odmiennym rezultatem powtórzyła się w sądzie W. powiatu B. w zachodniej Galicyi. Znany Kłusownik stawiony został przed sąd, a służba leśna miejscowa postawiła jako świadka rodzonego stryja obwinionego. Nastąpiło dochodzenie przestępstwa, które prawie dosłownie przytaczam: *Sędzia:* „Wieleżeś zabił zajęcy, przyznaj się, jednego?“ (Oskarzenie opiewa na 20). *Obwiniony:* „Jednego panie sędzio, bo mi szczepki obgryzał.“ *Sędzia:* „No to dostaniesz 24 godzin aresztu“. — A odwracając się do świadka, którego wcale nie badał, zgromił go, że śmie stawać jako świadek przeciw swemu bratankowi w tak błahej sprawie.

Jeżeli takie u nas pojęcia rozpowszechnione są między sądownictwem na prowincyi o cudzej własności, prawie polowania i interpretacyi ustaw łowieckich, to nic dziwnego, że o powiększeniu stanu zwierzyny w naszym kraju mowy być nie może. Dodać należy, że nie wszystkie starostwa i urzęda miejskie przestrzegają ściśle wykonania ustawy. W Krakowie i Tarnowie np. sami widzieliśmy kozy wiszące przed sklepami, których nikt nie myślał konfiskować, lubo je wszyscy widzieli; zające zaś i kuropatwy obnoszone bywają i sprzedawane na targu w Lutym i Marcu, lubo wszystkim wiadomo, że kuropatwy tylko do 1 Stycznia, zające do 1 Lutego strzelać wolno. Donoszenie zaś władzom o wypadkach, stanowiących przekroczenie ustawy, jest dotąd przez też władze uważane często za prostą denuncyacyę, również dziwią się, że ktoś ze stanowiskiem niezależnem może *„bawić się w denuncyanta“*.

Z tych powodów uważalibyśmy za stosowne, by Towarzystwo łowieckie udało się z prośbą tak do c. k. Namiestnictwa jak i do obu c. k. Prezydyów Sądów wyższych we Lwowie i Krakowie, aby najwyższe nasze Władze okólnikami wytłumaczyły podwładnym organom znaczenie łowiectwa w gospodarstwie krajowem, gdyż często niższe organa polityczne i sądowe uważają polowanie jako *zabawkę pańską*, przeciwną ustrojowi demokratycznemu społeczeństw nowoczesnych.

J. S.

KRONIKA.

Stan sarn wzmógł się u nas znacznie od czasu, jak weszło w życie przestrzeganie zabijania kóz — należy jednak mimo tego podżywiać je robiąc tryzuby z daszkiem — podrzucając konicz lub siano — umieszczając korytko, w którem jest lizawka, utworzona z gliny żółtej z domieszką soli kamiennej. Kłaść należy lizawki w miejscach za wiatrem i w pobliżu wody. Znęcone sarny, gdy niesie pożywienie gajowy, nie lękają się go wcale i przystępują natychmiast po oddaleniu się jego. Nawet szarak pożywia się społem z sarnami — należy wszakże zabezpieczyć lizawki od kłusowników i strzedz ich bacznie. Mały to bardzo wydatek w stosunku do korzyści. Głównym nieprzyjacielem sarn jest niezawodnie wilk — znane są dobrze myśliwym przemyślnie urządzane polowania tychże na sarny — wszelkich przeto możliwych środków nżywać trzeba, aby tego drapieżnego i chciwego krwi szkodnika wytępić lub przynajmniej wypłoszyć. — Kuropatwy żywić także należy, gdy w spokojnem miejscu zalegną. Jeżeli są niepokojone i nie mają dostatecznego żeru, to ściągają się, zwłaszcza w porze zamieci śniegowych, ku wsiom, a wtedy stają się pastwą chciwego włościanina, który zwabia je aż do stodoły, podrzucając po źdźble hreczki, którą chciwie wyszukują. — Na ponowie łapać je trzeba pod sieć — a przezimowawszy wypuszczać parami w miejsca spokojne i dogodne do lęgu. Przed wypuszczeniem pary, smaruje się je nieco gliną pod skrzydłami, a wiemy z doświadczenia, iż każdy ptak brzydzi się nieczystością — toż kuropatwa wypuszczona na wolność zapada natychmiast, i czyści się przez czas dłuższy, a będąc w parze gnieździ się w tem samem miejscu i wylęga młode.

W. Z.

X. Na kolei Lwowsko-Czerniowieckiej między stacyami Otynia-Korczów przejechał około 20 Stycznia pociąg osobowy w biały dzień ogromnego odyńca.

Żubry w zwierzyńcu Pieskim. W r. 1865 sprowadzono tu koleją z Białowieżskiej puszczy żubry: jednego byka i trzy krowy. Rozmnożyły się do roku przeszłego o 6 byków i 6 krów więcej. Z tych zabito 2 byki (jednego zabił cesarz, drugiego następca tronu). Z choroby zdechły: jeden byk i jedna krowa.

Gaz. Lwow.

Łoś oglądany był w ostatnich dniach w Toruniu. Była to zdobycz Dra Donimirskiego z polowania w głębokiej Litwie, jeszcze bowiem prawie wyłącznie tylko w puszczach litewskich przebywa ten zwierz wspaniały.

Gaz. Lwow.

Gazeta Narod. z d. 8, Lutego podaje wiadomość, iż dwie kobiety idące z brzaskiem dnia z Grzędy, opadnięte i rozszarpane zostały przez g r o m a d ę wilków, i że nazajutrz tylko szczątki odzieży na miejscu wydarzenia znaleziono. Zasięgaliśmy wiadomości o tym wypadku w c. k. starostwie, i okazało się, że polega on jedynie na pogłosce i że jest zupełnie nieprawdziwym.

Z prawdziwą przyjemnością podnosimy zasługi c. k. żandarmeryi, o której donoszą nam z niektórych stron kraju, iż gorliwie strzegąc powagi ustawy łowieckiej, śledzą, nawet w nocy kłusowników i pociągają ich do odpowiedzialności. Towarzystwo łowieckie wyraża niniejszem swe uznanie i podziękowanie — tym zwłaszcza, których imiona są mu znane.

Prawdziwy myśliwy z gorączkową niecierpliwością wyczekuje p i e r w s z e g o p o j a w i e n i a s i ę s ł o n k i — z większą niezawodnie, jak ponowy, która mu wskazuje tropy odyńca lub wilka. Któremuż pierwsze chrapnięcie tego powabnego ptaka nie sprawia miłego a zarazem do głębi poruszającego wrażenia? — Prosimy przeto bardzo o doniesienia rychłe o pierwszym strzale do słonek — abyśmy o tem w następnym numerze wspomnieć mogli.

Strażnik ogrodu miejskiego w Stryju spostrzegł rano nieznane mu tropy, które w niewiadomości swojej uważał jako ponobne do kaczych, ztąd też opowiadanie jego o nich, nie zrobiło na słuchających żadnego wrażenia. Gdy po południu wszedł do ogrodu, ujrzał, iż na osamotniony świerk biją gwałtownie wrony i kraczą przeraźliwie. Zbliżywszy się do drzewa, począł się rozglądać między gałęziami i po chwili spostrzegł na grubym konarze siedzące dwie sowy obok siebie. Co rychlej pobiegł do domu po strzelbę. Wróciwszy znalazł sowy w tem samem miejscu — więc też nie namyślając się długo, złożył się, wymierzył i palnął w sam łeb jednej. Jakież było zdziwienie jego, gdy po strzale owe dwie sowy przemieniły się w jakieś czworonożne zwierzę, wspinające się na wyższy konar, zkąd swobodnie poczęło się przypatrywać swemu prześladowcy. Miał on jeszcze jedną lufę nabitą, więc też szybko się zmierzył i palnął powtórnie w połeć zwierzęcia, które z łomotem bijąc się po gałęziach spadło na ziemię. Zbiegli się na odgłos strzałów ludzie, obstąpili w koło zwierzę, nikt wszakże nie umiał oznaczyć imienia jego. Strażnik ruszył z niem do miasta, lecz i tu nie umiano je nazwać — odesłano go wszakże do profesora***, który kupił od niego za 4 złr. piękny exemplarz — r y s i a, za jaki każdy gabinet zoologiczny byłby z wdzięcznością ofiarował 50 złr. — Jakim sposobem dostało się to drapieżne i rzadkie zwierzę aż do ogrodu miejskiego, jest w istocie zagadką. Mówiono nam, iż zapędzony był tamże przez wilki, których świeże tropy dostrzeżono.

Dnia 31. Stycznia odbyło się polowanie u księcia Adama Lubomirskiego w powiecie Przemyskim w Miżyńcu. Łowy odbywały się w oparkanionym zwierzyńcu. Zabito 1 jelenia, 6 kozłów, 1 lisa i 1 zająca.

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

MARZEC.

Łoś obgryza korę z drzew iglastych. J e l e ń powraca do swego dawnego stanowiska. Rogacze łowne zrzucają rogi. Polowanie na niego zupełnie ustaje. W miejsce zrzuconych nowe rogi odrastać zaczynają. S a r n a. Skoro tylko zwolnieje powietrze, szuka niskich łąk i żywi się świeżą trawą, ziołami, pączkami. liściami i młodymi wyrostkami osiczyny, wierzbiny i t. p. Przebywa po nad polami w Krzewach i na wzgórzach ku południowi pochylonych. Kozły mając już rogi zupełnie ukształcone obcierają błonę z nich na wierzbach, osikach, sosnach, brzozach i krzewach jałowcowych. D z i k i z niedostatku żeru daleko zapuszczają się; w bagnach i ciepłych źródłach szukają rdestnicy kędzierzawej, także korzeni i różnych ziół. Chowają się w gęstwinie. Odyniec tylko opuszcza maciory, które teraz w dużych stadach utrzymują się. Z a j ą c wciąż parka się, samica pomiata 2, 3 lub 4 młodych. Zwidzają zasiane pola i przesiadują w oraninach, blisko siewów. L i s kończy ciekanie się, żyje łupem, siedzi po większej części w jamach, liszka przyrządza sobie jamę na gniazdo. K u n a d o m o w a kończy także ciekanie się. K u n a l e ś n a pomiata 3 do 4 młodych ślepo — obydwie żyją łupem. Z b i k wciąż parka się i pomiata 4 do 6 młodych ślepo. Ugania się za łupem. T c h ó r z także łupem żywi się. W y d r a cieka się. B o r s u k wyszukuje pozostałych owoców drzewa. G ł u s z e c zaczyna grać, chowa się w borach sosnowych lub świerkowych i szuka tych miejsc, w których dawniej grał, żywi się pączkami brzozowymi i łączy się do samicy. J a r z ą b e k gra, żywi się pączkami i kotkami laskowemi. K u r o p a t w y parzą się i trzymają się ciepłych zdrojów albo pól zasianych. S k o w r o n k i i inne drobne ptaki parzą się, również g ę s i d z i k i e. Przylot g o ł ę b i d z i k i c h i s ł o n e k rozpoczyna się. Ptaki drapieżne parzą się.

Podczas mrozów i śniegów trzeba ciągle grubego zwierza podżywiać i lizawki odnawiać. Strzela się do g ł u s z c a, s ł o n k i, d z i k i c h k a c z e k i g o ł ę b i, d r o p i i p a r d w, p t a c t w a b ł o t n e g o i w o d n e g o w ogólności. G ł u s z e c zaczyna grać o 2 godzinie po północy. Z dniem 1 Marca inne zwierzęta starannie ochraniać należy.

OGŁOSZENIA.

Sprostowania: W korespondencyi Nr. 2. podpisanej przez Wgo Tergondego winniśmy sprostować wstęp do niej o tyle, że polowania na niedźwiedzie urządza wprawdzie Wny J. Tyszkowski w Rybotyczach — odbywają się one wszakże — w Karpatach.

W wstępnym artykule Nr. 2. należy poprawić w ustępie: „wniknąć w tajniki ducha *naszych* czasów — zamiast *naszych* — *dawnych;* — w końcu zaś słownictwa łowieckiego trzy razy zamiast *iśdź* — *iść.* Nakoniec upraszamy w poemacie: Tydzień Poleski — w ustępie IXtym przed wierszem: „Żaden z staruszków nie podrwił głową“ — umieścić opuszczony wiersz: „*A jak nie czynem, przynajmniej mową*“.

Odpowiedzialny za redakcyę Wład. Zontak ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.
Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Żorża.